# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

**Wychodzi co tydzień** *Dnia 8-go maja 1943r.* **Rok V. Nr. 18**



# CZAS PRÓBY

Jest to już oczywista i banalna prawda, że obecna wojna stawia przed żołnierzem zadania nie tylko czysto wojskowej natury, ale, bodaj cięższe jeszcze, trudniejsze zadania natury moralnej. Coraz częściej i coraz ostrzej odsłania się nam wymiar duchowy, "front psychiczny" tej wojny. Przeszliśmy kilka takich prób: w obozach internowania na Węgrzech i w Rumunii, po upadku Francji, w pierwszych tygodniach bieżącego roku. W tej chwili przechodzimy nową taką próbę w związku z zaostrzeniem stosunków polsko-sowieckich.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że nie do nas — żołnierzy — należy urabianie tych stosunków ani ich ocena. Każdy, kto by usiłował zmienić ten konieczny, jedynie możliwy stan rzeczy, działałby na szkodę wojska i sprawy, której ono służy. Ale prawdą jest także, że my żołnierze Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii, jak nasi koledzy na Środkowym Wschodzie, reprezentujemy typ żołnierza świadomego, typ żołnierza-obywatela.

Uczestniczymy w tej wojnie o byt naszego kraju, o wolność wszystkich narodów Europy, o zachowanie wartości wspólnych całej kulturze europejskiej — w sposób przytomny i odpowiedzialny. Doświadczamy tej wojny w całej rozciągłości i złożoności, wytrzymujemy na sobie wszystek jej ciężar. Nie jesteśmy tylko specjalistami w obsługiwaniu bardzo delikatnych i skomplikowanych mechanizmów, nie jesteśmy tylko "weteranami" — jak się o nas łaskawie mówi — kilku kampanii. Jesteśmy pełnoświadomymi uczestnikami całej tej gry o rzeczy największe — myślimy i czujemy. Tu i wszędzie patrzą na nas nie tylko jako na żołnierzy, ale widzą w nas przedstawicieli naszego narodu, jego część wolną, część, która mówi za cały, milczący naród.

Także ostatnie powikłania w stosunkach polsko-sowieckich nie dokonały się poza naszą świadomością. Cały światowy rozgłos powstały wokół tej sprawy odbił się i odbija głębokim echem w odczuciach każdego z nas. Wolno więc i należy dać tym odczuciom wyraz na tych łamach.

Byliśmy wszyscy wstrząśnięci doniesieniami o odkryciach w lesie katyńskim. Jest to łatwo zrozumiałe. Przecież od dwu lat szukamy daremnie bliskich swoich, przyjaciół i kolegów. Przecież odnaleźliśmy wielu; po innych ślad zaginął. Przecież są tu z nami żywi — byli jeńcy z obozu w Kozielsku i z innych obozów.

Mieliśmy prawo doznać wstrząsu. Nie poczytywaliśmy za złe armii Stanów, całemu narodowi amerykańskiemu, że wzdrygnął się z odrazy na wieść o mordowaniu lotników amerykańskich w obozach jenieckich Japonii. Zawsze potępialiśmy i potępiamy potworności dokonywane przez Niemców na jeńcach rosyjskich, rozumieliśmy słowa, którymi opinia Związku Sowieckiego piętnowała te potworności. Więc mieliśmy prawo.

Ale nawet pod bezpośrednim uderzeniem wiadomości, nawet przez czarną mgłę padającą na oczy, widzieliśmy jasno od kogo ta wiadomość pochodzi. Widzieliśmy jasno, najjaśniej, że nie przerzucił jej przez powietrze człowiek współczujący albo choćby tak samo jak my — po ludzku, po europejsku, po chrześcijańsku — rozumiejący wymowę potworności, ale rzucił ją w nas wróg śmiertelny człowieka, Europy i chrześcijaństwa, zimny, systematyczny, metodyczny oprawca ludów, arcykat hitlerowski. Rzucił, aby nas ugodzić w serce, w najczulszy punkt ufności, wiary w sens naszych cierpień, naszych ofiar i naszej gotowości do dalszej walki.

Jesteśmy już na tyle daleko od tego żałobnego adwentu, aby stwierdzić, że to się nie powiodło, że najdokładniej chybiło celu. Oświadczenie Rządu z dnia 17 kwietnia, przygważdżające nie obłudę już, ale wyzywający cynizm gry niemieckiej wyrażało odczucia wszystkich Polaków. Nic wam do naszej trwogi o los kolegów-żołnierzy, o los kobiet i dzieci, do żalu po tych, którzy leżą pod darnią katyńskiego lasu, nic wam do nas, niemieccy zbrodniarze, mordercy naszych matek, żon i dzieci.

To jest punkt, w którym uderzyła w nas reakcja sowiecka. Stanęliśmy — i stoimy ciągle — w ogniu nowej próby, ale o tamtą próbę silniejsi, tamtą próbą wzmocnieni, zjednoczeni wszyscy i na prawdę. Znowu nota polska z dnia 28 kwietnia całkowicie i bez reszty wyraziła naszą postawę.

Nie daliśmy się i nie chcemy się dać sprowokować. Wiemy to z całym spokojem, że nie ma prostej drogi od słów Roosevelta o Polsce "natchnieniu narodów" do uznania słuszności pomówień o tajną spółkę z najbardziej nieprzebłaganym, najpodlejszym spośród wrogów. Stoimy ponad tym. Wdzięczni jesteśmy tym ludziom, pismom, środowiskom świata anglo-saskiego, których zdrowy rozsądek potępił takie pomówienia jako odruch nieopanowania.

Powiedzieliśmy i powtarzamy to każdemu, kto chce słuchać i umie słuchać, że byliśmy gotowi i zostaliśmy gotowi do zapomnienia wielu rzeczy w imię wspólnej walki, w imię wspólnej, lepszej, sprawiedliwej przyszłości. Byle nie wymagano od nas rzeczy niemożliwych.

Nie można żądać od bijącego się żołnierza, od narodu walczącego wszystkim napięciem sił, aby wyrzekał się swojej ziemi, ustępował domu, drogich grobów, pamięci własnego dzieciństwa i pamięci dzieciństwa swoich dzieci. Nie można tego żądać w imię zdrowego rozsądku, w imię najprostszego składu między tym c o człowiek robi i p o c o coś robi.

Trudno żądać od żołnierza walczącego i gotowego dać życie w walce, aby zrozumiał i uznał za naturalne, że jego bliscy, najbliżsi, mają być pozbawieni opieki nie tylko na ziemi zajętej przez wroga, ale na własnej ziemi współtowarzysza walki. Nie wolno nam pomóc bliskim, mrącym z głodu i z zimna pod okupacją niemiecką — takie jest okrutne bezprawie wojny. Winno nam być dozwolone pomagać bez ograniczeń bliskim w kraju należącym do koalicji — takie jest proste następstwo współdziałania w walce z jednym, wspólnym wrogiem.

Oświadczenie Rządu Polskiego sformułowało żądanie wypuszczenia z Z.S.R.R. rodzin żołnierzy, dziesiątków dzieci i sierot polskich, wreszcie tych, którzy razem z nami mogą służyć sprawie sprzymierzonych. Wszyscy, ilu nas jest stoimy za tym żądaniem. Wszyscy pragniemy, aby zostało spełnione. Wierzymy, że gdyby nad Rosją przestał zawieszać się niepokój o nasze rodziny, o ich los codzienny — została by oczyszczona droga do porozumienia. Nie byłoby można podkopać porozumienia, którego by nie podkopywał, nie drążył codzienny, conocny niepokój o nasze rodziny, niemożność uzyskania wieści, niemożność udzielenia pomocy.

Mamy poczucie, że po naszej stronie — żołnierzy, którzy przeszli tyle granic, przetrzymali tyle klęsk i tyle zawodów, którzy nikogo nie zdradzili — jest prosta, ludzka słuszność. Niech to poczucie towarzyszy nam, gdy docierają do nas sprzeczne odgłosy sporu polsko-sowieckiego w opinii świata. Przeważa w tych odgłosach nieznajomość faktów i niezrozumienie naszych pobudek nad jawnie i oczywiście złą wolą. Wszędzie, gdzie można, mówmy spokojnie, bez uniesienia o naszej prostej, ludzkiej słuszności, o prostym ludzkim prawie do domu, który opuściliśmy, by walczyć, do dzieci, które chcemy zachować żywe i zdrowe na lepsze życie w ojczyźnie, do naszych rodzin i naszych obywateli. Takie to są nasze "landlordowskie," "feudalne" uroszczenia.

Ta prosta ludzka słuszność musi przeważyć, proste ludzkie prawo, musi zwyciężyć. Gdyby nie zwyciężyło, upadła by cała sprawa sprzymierzonych narodów, musiałaby się załamać cała walka, która jest przecież walką o człowieka, o jego prawo do wolności i szczęścia. I to także mówmy wszędzie gdzie można i trzeba.

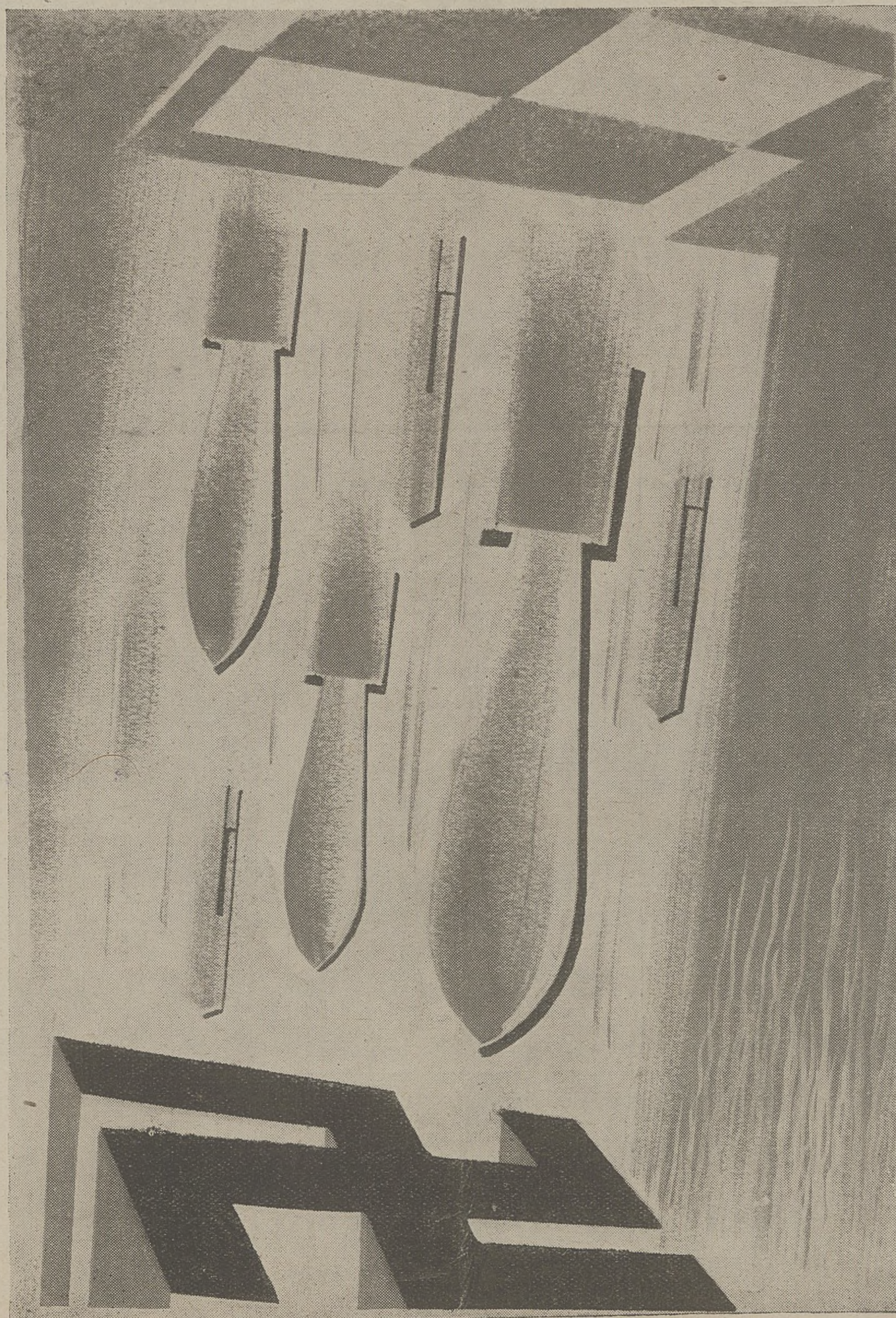
Ciężka próba, przez którą przechodzimy, nakłada na nas obowiązek szczególnej czujności, pogotowia bojowego przeciw propagandzie wroga. Niemcy wykorzystują napięcie polsko-sowieckie dla osiągnięcia skutków, których nie osiągnęli przez podniesienie sprawy smoleńskiej. Gadzinowe radio berlińskie, wrocławskie, rzymskie, przelewa się od jadowitej plotki to o tym, że oddziały polskie na Środkowym Wschodzie starły się z . . . sowieckimi, choć są od siebie oddalone o setki mil, to o tym, że dywizjony polskie odlatują do Niemiec, co już w większej mierze jest prawdą, bo rzeczywiście odlatują bez przerwy, by rzucić ładunek bomb i — wrócić po nowe. Bezwzględna odporność wobec każdej wieści niesprawdzonej, zasłyszanej, niewiadomo skąd pochodzącej jest nakazem chwili.

Taką samą zdwojoną kontrolę własnych odruchów winniśmy sobie nakazać wobec środowiska w którym przebywamy. Mogliśmy to z radością i dumą stwierdzić, że wszędzie tam, gdzie przebywa żołnierz polski sprawa jego i jego kraju jest jaśniejsza, lepiej rozumiana i goręcej broniona. Ale wiele jeszcze możemy zrobić postawą pełną spokoju, godności i umiaru. Musimy tego dokonać, by nieopanowany język dyplomatyczny był powszechnie potępiony przez wszystkich, którzy nas znają w tym kraju.

Faktem dokonanym przez próby ostatnich tygodni jest pełna jedność opinii polskiej, o którą my żołnierze, na tych łamach także, nawoływaliśmy i nalegali. Musimy ją utrzymać. Musimy ją natężyć. Musimy ją podać umęczonemu krajowi, jako hasło i słowo otuchy, słowo żołnierskiej, służebnej wierności — w tej próbie i zawsze aż do końca, do świętej godziny zwycięstwa.

*ALEKSANDER JANOWSKI*

*rys. JAN POLIŃSKI*



# Szkic sytuacyjny

### CIĘŻKI FINISH W TUNISIE

W Tunisie bijemy się jeszcze na wstępie maja i nie można oznaczyć dokładnej daty zakończenia działań. Przypuszczać wolno, że uporamy się z tym w maju, ale jeżeli dowództwo niemieckie pójdzie na rozwiązanie "stalingradzkie," to znaczy katastrofalnie dla niego kosztowne — wówczas rzecz może się przedłużyć.

Wojska niemieckie, jak to przyznają doniesienia brytyjskie, walczą zażarcie. Najlepsze pułki /jak n.p. pułk strzelców Goeringa/ wzmocniły jednostki niemieckie. Najwidoczniej Niemcy nie liczą nadmiernie na masową ewakuację. Strącanie wielkich "Junkersów" przez pościgowce brytyjskie było zabawą zbyt kosztowną dla wroga. Dlatego ewakuacja nie będzie chyba masowa — najwyżej będzie to "wyciekanie" pewnych jednostek, szczególnie technicznych. Należało by się zatem liczyć raczej z upartą obroną Bizerty i Tunisu. Żołnierze niemieccy biją się "na straconego."

Zysk w czasie jest dość poważny. Nie tylko bowiem opóźnia się działanie przeciw "fortecy europejskiej," ale przygotowania *na froncie wschodnim* mogą dobiec kresu w jakim takim spokoju. Jest to niewątpliwie ważne, jeżeli Rzesza ma zamiar przejść do ofensywy. A wszystko dowodzi, że jednak będzie musiała atakować na Wschodzie.

Tunis wskazuje, że trzeba się liczyć z obroną niemiecką wszędzie — i że nie będzie to obrona od parady. Oczywiście, tempo pochodu w rozmaitych stronach kontynentu może być różne, ale zasada będzie chyba ta sama: twardy opór, nawet odosobnionych gniazd, dopóki nie zaczną działać inne czynniki, które trudno w tej chwili obliczyć.

Wydaje się, że rozmaite systemy obronne zbudowane przez Niemców w Europie połączone są tak wiele, ażeby można było bronić się stosunkowo niewielkimi stawkami ludzi. W Tunisie widzimy, że jeżeli nieprzyjaciel przez czas jakiś opanuje teren i jeżeli teren ten mu sprzyja /pagóry i góry/, to wyparcie go ze stanowisk nie jest łatwe. Podobne zjawisko oglądaliśmy w Rosji.

### UDERZENIE OD PÓŁNOCY?

Niemieckie przygotowania w Rosji wskazywałyby na to, że główne uderzenie skierują się od północy. Zarówno zabiegi wokoło Finów /marszałek Mannerheim bawi chwilowo na kuracji w Szwajcarii/, jak i poruszenia na Bałtyku a wreszcie bombardowania sowieckie w kierunku na Gdańsk i Królewiec dowodziłyby, że uderzenie niemieckie pójdzie na Leningrad oraz Moskwę.

Tego rodzaju ofensywa niemiecka byłaby uzasadniona wielu względami. Przypominałaby ona raczej pierwszy zamach, aniżeli drugi: akcję z r. 1941, kiedy to Hitlerowi śpieszyło się diablo do Moskwy i kiedy szedł na *ofensywę polityczną.* Drugie uderzenie było już pod nadzorem "Wehrmachtu" i posiadało cele wojskowe.

W stronę Kaukazu może jeszcze uderzyć armia niemiecka z przyczółka mostowego, jaki zachowała /przypuszczalnie kosztem bardzo wielkich ofiar/. Rozpiętość obcęgów niemieckich będzie ogromna, ryzyko akcji na południu wielkie. Ale widocznie Wehrmacht /on bowiem coraz bardziej jest odpowiedzialny za działania, a Hitler w swojej "kwaterze głównej," która nie jest już na froncie, ale w Berchtesgaden, coraz bardziej staje się *mitem* po czynnym dowodzeniu/, uważa, że należy podjąć takie ryzyko. Nie ma zresztą innego wyjścia.

Uderzenie od północy natrafi na dobry opór sowiecki, gdyż kierunek uderzenia jest dobrze Sowietom znany. Przypuszczać wolno, że wojska sowieckie są wypoczęte bardziej, aniżeli w lecie r.ub. i że dopływ sprzętu do linii jest zapewniony. Uderzenie pod Leningradem nie będzie łatwe. Uderzenie na Moskwę jeszcze trudniejsze. Możliwości manewru Rosjan od środka i południa korzystniejsze o wiele aniżeli w r.ub.

W tych warunkach walki letnie w Rosji zapowiadają się jako *olbrzymie pasowanie się dwóch sił zahartowanych w boju, sił, które użyją wszystkich sposobów*, wszelkich zasobów, ażeby wykruszyć się wzajemnie, osaczyć, ażeby zastosować wobec przeciwnika całe bogactwo doświadczenia.

Nie wiemy, jakie zmiany zajdą jeszcze w armii sowieckiej: zejście w cień marszałka Sapożnikowa, który należał do najwybitniejszych strategów naszego stulecia, jest narazie osłonięte tajemnicą. Nie wiemy co spowodowało to odejście — osoba generała Wasilewskiego nie jest zbyt dobrze znana zagranicą. Jeżeli jednak Sowiety poszły na zmianę szefa sztabu w dobie wojny, w obliczu tak ważkiego — jeżeli nie decydującego spotkania — to widocznie miały po temu powody.

Spotkanie letnie trzeba będzie śledzić szczególnie pilnie. Będzie ono bowiem, jeżeli chodzi o stronę niemiecką, *podwójnie politycznym zabiegiem.* Pierwszy cel polityczny to zdobycie centrów politycznych Rosji /Moskwa, Leningrad, gdzie jest ośrodek najlepiej zorganizowanego ruchu robotniczego/; drugi — to zyskanie stanowiska do targów pokojowych.

Nie jest to żadną tajemnicą, a Stalin w swoim rozkazie dnia z 1-go maja powiedział to wyraźnie, że *Rzesza czyni zabiegi pokojowe.* Czyni je istotnie na dwie strony. Szantaż niemiecki jest niebywały: Rzesza bowiem opowiada nie tylko, że kto wie . . . może się dogada z tym czy innym, ale również opowiada *o innych* bez żadnego upoważnienia, że . . . wie, iż chcą się oni z nią dogadać, tylko — jakoś im wstyd, czy są zbyt nieśmiali.

Trzeba śledzić wojnę radiową, jaka odchodzi dzisiaj w Europie, ażeby zdać sobie sprawę z rozmiarów politycznego szantażu. Doprawdy, przeglądanie nasłuchów radiowych wymaga silnej głowy: stacje niemieckie nadają na rozmaite tony, sieją nieopisany zamęt, raz straszą, raz pochlebiają, raz uderzają w ton ponury, to znowu triumfalny.

Wszystko to zaś służy ofensywie politycznej, która foruje się na pierwszy plan. Jest ona dzisiaj ważniejsza może, aniżeli działania wojenne. Trudniejsza do obserwacji ze względu na łamańce, wykrętasy, kamuflaże, zaciemnienia.

### SPRZYMIERZENI WOBEC SPORU POLSKO-SOWIECKIEGO

Prasa anglo-saska poświęca wiele uwagi trudnościom, jakie wynikły ostatnio w dziedzinie stosunków polsko-sowieckich. Prasa neutralna pilnie obserwuje te falowania. Radio niemieckie przepełnione jest szczegółami, zmyśleniami, wierutnymi kłamstwami. Jednym słowem jest to temat dnia, co się zowie.

Prasa anglosaska, odzwierciedlająca opinie publiczne swoich krajów, uznaje, że rozłam w stosunkach polsko-sowieckich jest niepożądany. Anglia jako strażnik, wraz ze Stanami Zjd., jedności sojuszniczej, ma powody do zatroskania. Polityka brytyjska będzie niewątpliwie szukać dróg wyjścia. Prasa stara się zachować bezstronność spojrzenia. Wystarczy przeczytać głosy tygodników takich jak "*Time and Tide*" /nie mówiąc o "*The Tablet,*" którego artykuł z dnia 1-ego maja p.t. "*Russia and the West*" *jest jednym* z najlepszych, najświatlejszych rozważań, jakie napisano na ten temat/, czy "*Spectator,*" ażeby ocenić wysiłki prasy brytyjskiej, by nie przesadzić w naganie dla żadnej ze stron i ażeby uratować zasadę jedności. Nawet "*Tribune,*" która atakuje wcale ostro nasze stanowisko daje jednak lojalnie gościnę listowi p. C. Poznańskiego, przedstawiającego spokojnie i rzeczowo stanowisko nasze w sprawie lasku katyńskiego.

Należy zdać sobie sprawę z trudności jakie nastręczają się polityce brytyjskiej. *Jest rzeczą pewną, że Polska nie miała i nie ma zamiaru przyczyniać tych trudności.* Sprawa nasza nie jest sprawą Polski tylko, czy nawet strefy, do której kraj nasz należy. Wystarczy śledzić reakcje *prasy tureckiej n.p.*, ażeby dojrzeć olbrzymie zbieżności. Turcja jest również sojusznikiem Anglii i zachowanie jej jest w pełni lojalne — a jednak żywi obawy wcale podobne do naszych. Turcy nie mogą być chyba oskarżani o histerię.

Śledzenie prasy neutralnej dowodzi, że obawy, jakie nurtują Polskę są obawami wielu, jeżeli nie wszystkich krajów Europy. Bez żadnego popadania w przesadę czy zarozumialstwo można stwierdzić, że *Polska jest jednak owym "test case," owym probierzem pewnych wartości moralnych tej wojny. Te wartości muszą być utrzymane. Jeżeli się je usunie z tej wojny, wtrąca się narody w objęcia materializmu, czyli — pokus niemieckich.*

Dlatego należy patrzeć ze spokojem w przyszłość. Jeżeli wojna ta zyskać ma oblicze moralne /nie we wszystkim je dotychczas ma/, to wówczas spaść muszą w tej wojnie pewne karty i muszą paść pewne słowa. Chwila obecna jest tym, co Anglicy zwą "*tug-of-war,*" owym mocowaniem się o prawo t.zw. małych narodów do zabierania głosu w swoich sprawach. Jest to chwila ważna i wiele wskazuje na to, że ta sprawa rozegrana będzie tak, jak należy.

*Interesem wielkiej Brytanii jest utrzymać przyjaźń t.zw. małych narodów i stawać w obronie zasad moralnych. Jest to olbrzymia siła Anglii. Siła, której nie zastąpi żaden —układ sił.*

Społeczeństwo polskie wykazać winno największe opanowanie nerwów w chwilach, które przyniosą jeszcze niejedno rozczarowanie, zawieszenie w niepewności, niejedną trudność. Wojna nerwów jest zjawiskiem stałym tych zmagań — a nie przejściowym.

*ZBIGNIEW GRABOWSKI*

## *Z tygodnia na tydzień*

17 *kwietnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały trzy wyprawy bombowe oraz dokonały wymiatania. Wszystkie samoloty polskie powróciły szczęśliwie do baz.*

18 *kwietnia: Naczelny Wódz w towarzystwie generalicji brytyjskiej dokonał przeglądu 4-tego Batalionu Kadetów "The Queen's Regiment."*

*—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową lotnictwa Sprzymierzonych oraz dokonały wymiatania nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

19 *kwietnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową.*

20 *kwietnia: Rząd R.P. ujawnił w prasie wyniki akcji polskich oddziałów bojowych w Kraju pod okupacją niemiecką w ciągu miesiąca marca.*

*—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie i osłonę wyprawy bombowej. W czasie walki strącono napewno 1 samolot nieprzyjacielski i 1 uszkodzono — bez strat własnych.*

*—W nocy z 19/20 brytyjskie siły zbrojne w Tunisie rozpoczęły nową ofensywę w kierunku na Enfidaville.*

21 *kwietnia: W imieniu polskich towarzystw i związków w Argentynie p. Szostak złożył Naczelnemu Wodzowi dokument, zawierający ślubowanie tamtejszej Polonii, iż nadal będzie spełniać swe obowiązki wobec Polski śląc żołnierza oraz, że będzie pracować zgodnie dla zwycięstwa i odbudowy Rzeczypospolitej.*

22 *kwietnia: Naczelny Wódz gen. Sikorski dekorował Krzyżem Walecznych lotnika amerykańskiego pochodzenia polskiego kpt. F. S. Gabreskiego. Kpt. Gabreski w czasie stage'u w polskim dywizjonie myśliwskim wykazał, że jest nie tylko doskonałym i odważnym pilotem, lecz również wzorowym członkiem zespołu.*

23 *kwietnia: Naczelny Wódz z okazji świąt Wielkiejnocy wydał rozkaz do Polskich Sił Zbrojnych, w którym mówi: "Jedność Waszego wysiłku w walce i pracy żołnierskiej, najnowocześniejszy sprzęt, jaki otrzymujecie od Sprzymierzonych, wiedza, jaką zdobywacie u ich boku, dają gwarancję, że gdy nadejdzie chwila próby, zdamy ją i okażemy się godni zaufania naszego wspaniałego Narodu."*

26 *kwietnia: Rząd Sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim.*

27 *kwietnia: W nocy z 26/27 polskie załogi bombowe brały udział w silnym nalocie na Duisburg.*

28 *kwietnia: Rząd R.P. ogłosił oświadczenie w odpowiedzi na oskarżenia sowieckie.*

*—Polscy piloci w Afryce w ciągu miesięcznych walk strącili napewno 23 samoloty nieprzyjacielskie. Straty własne — jeden pilot zaginiony.*

*—Polscy piloci myśliwscy atakowali cele ziemne na terenach okupowanych przez Niemców.*

29 *kwietnia: Naczelny Wódz odbył odprawę z wyższymi dowódcami Polskich Sił Zbrojnych.*

1 *maja: Ogłoszono komunikat, według którego Rząd R.P. uważa swój apel do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża za wygasły, wobec trudności, na jakie instytucja ta natrafiła dążąc do zadośćuczynienia wnioskowi polskiemu.*

*—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili.*

2 *maja: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. W czasie walk strącono napewno jeden samolot myśliwski bez strat własnych.*

3 *maja: Prezydent R.P. wygłosił przemówienie przez radio do Polaków.*

*—Naczelny Wódz wydał rozkaz nr. 3 do żołnierzy polskich.*

*—Premier Churchill przesłał orędzie do narodu polskiego w którym mówi: "Cenny wkład dokonany przez Polaków na rzecz wspólnej sprawy Zjednoczonych Narodów nie został osiągnięty bez ciężkich ofiar. Ofiary te jednak będą wynagrodzone odbudową — której wszyscy oczekujemy — wielkiej i niepodległej Polski."*

*—Wojska amerykańskie zajęły miejscowość Mateur w Tunisie.*

# Nowości lotnicze

Wojna polsko-niemiecka i niemiecko-francuska utrwaliła wielu w przekonaniu, że zarówno taktyka broni pancernej jak i lotnictwa, została już przez Niemców ustalona. Przypuszczano, że znając tajemnice tej taktyki Niemcy zwyciężali i zapewnili sobie przewagę nad wszystkimi armiami świata. Tak było, ale tak wcale nie jest. Rzeczywiście, w 1939 r., kiedy poza Niemcami żaden naród /z wyjątkiem Rosji nie rozporządzał ani potężną bronią pancerną, ani wielkim lotnictwem — taktyka broni połączonych, stosowana przez Niemców okazała się skuteczną i decydującą na polu bitwy. Dalszy jednak rozwój wypadków wykazał, że nawet przy przybliżonej zaledwie równowadze sił przeciwnika, taktyka niemiecka w użyciu broni pancernej a przede wszystkim lotnictwa nie okazała się wcale ani tak skuteczna, ani decydująca.

Do tego wniosku doszli nie tylko Niemcy, lecz wcześniej od nich przeciwnicy. Zmienili taktykę, zmienili organizację i zmieniają ją dotychczas. Przystosowują, eksperymentują, badają, albowiem poznali, że zarówno lotnictwo jak i broń pancerna znajdują się dopiero w stadium rozwoju. Każdy miesiąc przynosi coś nowego, otwiera inne możliwości. Z możliwościami zmienia się taktyka i zmienia organizacja. O powodzeniu w bitwie rozstrzyga dziś giętkość umysłów dowodzących i umiejętność oraz zdolność przystosowywania się walczących do potrzeb chwili i terenu a także technicznych możliwości sprzętu. Rzecz zresztą nie nowa, każdy po kolei wielki strategik i taktyk odkrywał na nowo te prawdy i stosował je w praktyce z korzyścią, podczas gdy mędrkowie szukali, jakiegoś schematu ogólnego dla wszelkich prawd organizacyjnych i taktycznych.

Swego czasu podkreśliliśmy w jednym z naszych sprawozdań, że Niemcy w swej organizacji i w swej taktyce użycia lotnictwa zbyt silnie ulegli sugestii potrzeb armii walczącej na ziemi. Związali się z ziemią na skutek czego operowanie wielkimi jednostkami lotnictwa, gdy przychodziło do bitwy *par excellence* lotniczej, jaka była n.p. *Battle of Britain*, czy bitwa o Kretę, czy bitwa o Maltę — stawało się sztywne i twarde. Wynik: forsowanie zwycięstwa masą, nie umiejętnością i olbrzymie straty. Najdziwniejsze w tym wszystkim to, że organizacja Luftwaffe rzeczywiście zapewniała jej absolutną samodzielność. Z tego wniosek, że właściwa organizacja sama nie decyduje o powodzeniu, dopiero właściwa myśl taktyczna nadaje dobrej organizacji treść i barwę.

Czeski pisarz wojskowy kpt. Miksche wyraził ostatnio opinię, że zbyt ostry podział między lotnictwem bombardującym a lotnictwem myśliwskim, naraża siły walczące na ziemi na niebezpieczeństwo braku pełnej pomocy z powietrza — a przecież ta pomoc rozstrzyga dziś o zwycięstwie. Współpraca wszystkich rodzajów lotnictwa na polu bitwy jest konieczna i musi być bezwzględnie zgrana z ziemią. Podział naraża na szwank doskonałość współpracy. Tu zaznaczyć należy, że podobny podział istnieje tylko w RAF'ie, Luftwaffe go nie zna.

Na froncie północno-afrykańskim, tym ogromnym poligonie, na którym rodzi się niewątpliwie nowoczesna myśl taktyczna, podział taki istnieje po stronie angielskiej. Lotnictwa sprzymierzone amerykańskie, francuskie i brytyjskie zostały wrzucone do trzech kociołków: jeden kociołek nazywa się lotnictwem strategicznym, drugi: taktycznym, trzeci: lotnictwem przybrzeża. Wszystkie te trzy rodzaje lotnictwa pracują samodzielnie. Jednak podział afrykański bynajmniej nie pokrywa się z podziałem przyjętym na terenie Wielkiej Brytanii. Tak n.p. lotnictwo strategiczne pokrywa się tylko częściowo z tym, co znamy na brytyjskim terenie operacyjnym jako *Bomber Command.* Także i to jest ciekawe /widzę już jak niektórzy załamują ręce/, że lotnictwo współpracy nie jest wcale związane organizacyjnie z jednostkami na ziemi, na korzyść których pracuje, lecz stanowi jedną z gałęzi lotnictwa taktycznego.

Jest wreszcie do zanotowania fakt najważniejszy: wszystkie rodzaje lotnictwa pracują pod jednym lotniczym dowództwem, w tym wypadku "A.O.C. in C." jest marszałek lotnictwa Tedder.

Możemy tu wyrazić przekonanie w ślad za opiniami wielu fachowców, że dotychczasowa organizacja lotnictwa utrzymywana na wyspach brytyjskich, ulegnie natychmiastowej zmianie w razie jakichkolwiek zdarzeń zasadniczych, n.p. inwazji kontynentu. Organizacja zostanie zmieniona może na podobną do tej na Wschodzie, może będzie całkowicie inna.

I tu przychodzimy do sedna sprawy. Nieraz bywaliśmy świadkami sporów na tematy organizacyjne, a raczej na temat tez organizacyjnych. Najczęściej mówiło się wiele o różnicach organizacyjnych jednostek brytyjskich i polskich, sposobów zaopatrzenia, systemów dowodzenia i t.d. Bardzo często dyskutanci dzielili się na obozy, uznając jedną lub drugą możliwość za "lepszą." Była to fatalna pomyłka, która prowadzi w prostej drodze do twierdzenia nieszczęsnego Macka po bitwie pod Ulm, że Napoleon zwyciężył dlatego, że był nieukiem i nie znał zasad taktyki. Jeżeli chodzi o organizację, to istnieje tylko jedna teza organizacyjna: organizacja dowództw i jednostek musi być na tyle elastyczna, by mogła być w każdej chwili zmieniona, gdy zajdzie tego potrzeba.

Widzieliśmy wszyscy wyniki sztywnych zasad organizacyjnych na przykładzie biednej Francji. Tam doktryna i schemat zastąpiły wszelką mądrość praktyczną. Trzymano się rękami i nogami zasad z lat po r. 1918, które właśnie dlatego, że dały rezultaty dobre w 1918-tym, nie mogły ich dać w 1940-tym.

Niemcy postawili pewne tezy w 1934, zastosowali je w 1939. Niestety teza przewidywała krótkie a gwałtowne działania, nie wzięto pod uwagę możliwości przeciągania się wojny, nie wzięto pod uwagę możliwości wzmocnienia przeciwnika. Byli pewni zwycięstwa, więc nie przewidzieli ewentualności niepowodzeń. Każda zmiana tezy wymaga tak olbrzymich zmian w produkcji, że Niemcy właściwie powinni w tej chwili przerwać działania bojowe na szereg miesięcy /najlepiej na dwa lata/ i wziąć się do przebudowywania Luftwaffe od podstaw. Jednak nikt im tych dwóch lat udzielić nie chce. Przychodzi konieczność improwizacji. O ile Niemcy są nadzwyczajni w organizowaniu trwałym, o tyle tracą głowę w razie konieczności improwizacji. Improwizację uważa każdy Niemiec za coś podobnego do dyletantyzmu, a dyletantyzmu boi się jak ognia.

Brytyjczycy od niepamiętnych czasów przyjęli zasadę organizacji improwizowanej i płynnej. Dlatego może powiada się o nich, że przegrywają wszystkie bitwy — prócz ostatniej.

---

W obecnej sytuacji Niemcy dążą do ograniczenia się do jednego tylko frontu, jeżeli chodzi o zasadniczy wysiłek bojowy. Olbrzymie koncentracje na wschodzie, zneglizowanie frontu południowego w dyspozytywie lotniczym wskazuje na pozór na to bardzo jasno. Jednak do tej chwili nie jest rzeczą wiadomą, gdzie Niemcy użyją swej strategicznej rezerwy lotniczej, która jest przygotowywana od grudnia. Reorganizacja wycofanych z frontu wschodniego dywizjonów nastąpiła, lecz jak ta reorganizacja wygląda: defensywnie czy ofensywnie?

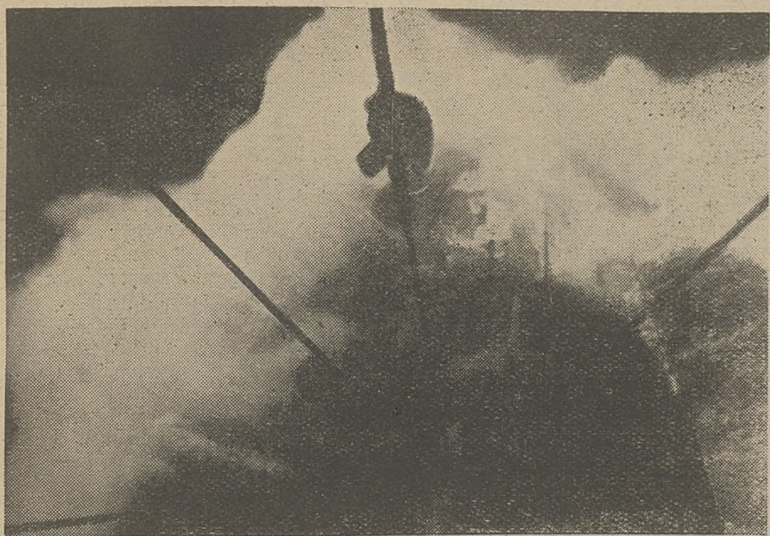
Oto pytania, na które brak nam jasnej odpowiedzi. Gdybyśmy uzyskali na te pytania odpowiedź, wiedzielibyśmy jakie wypadki rozegrają się w przestrzeni powietrznej i pod jakim niebem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Niemcy jednak liczą się z tym, że zdołają odwlec chwilę uderzenia Aliantów na kontynent aż do wiosny roku przyszłego, a do tej chwili — skończą z Rosją.

Nic nie wskazuje na to, by przystąpiono już w tej chwili, kiedy to piszemy, do wysiłku ewakuacji cennego dla Niemców korpusu afrykańskiego. Wręcz przeciwnie, raporty o zestrzeleniach olbrzymich transportowców nad Morzem Śródziemnym, wskazują, że wysiłki Niemiec idą w kierunku wzmocnienia von Arnima.

Dotychczas ewakuowano tylko prawdopodobnie tych cennych specjalistów, którzy są potrzebni do tworzenia innych jednostek na kontynencie. Większość sił niemieckich bije się i bić się będzie w Tunisie do końca. Aby zyskać na czasie.

*M. J. GORDON*

# Atlantycka fala



Morze, jak kobieta, miewa swoje okresy złego humoru, i w różny okazuje je sposób. A w ogóle, morze posiada wiele złych cech wspólnych z kobietami. Potrafi przez długi czas ukrywać je przed wielbicielami, ukazywać się w najlepszej swej szacie, łasić się i przymilać, dąsać trochę, lecz nie za dużo, udawać szczerość — i posiadać tyle oblicz, ilu ma wielbicieli. Ci zaś, oczarowani całą tą kokieterią, albo ślepną i odrazu wpadają w sieć, a jeżeli nawet potrafią zachować odrobinę rozsądku, to zaznawszy przyjemności wspólnego pożycia, godzą się z tymi wadami, jako ze złem koniecznym, i choć nieraz grożą odejściem, nigdy nie mogą się na to zdobyć.

Dziewięćdziesiąt kilka procent naszych marynarzy poszło na morze, bo pociągnął ich urok osobistego zetknięcia się z nim, albo tym, co o nim czytali lub słyszeli. Gdy po paru latach pływania i korzystania z wielu przyjemności, jakie morze daje, przekonali się, że posiada ono równie wiele przykrych stron — chcieli odejść. Lecz właśnie te parę lat wspólnego pożycia, to jak w małżeństwie ślub kościelny z księdzem, obrączką, drużbami, płaczącą teściową i wszelkimi innymi ceremoniami. Nie ma rozwodu.

Rozpoczyna się mniej lub więcej zgodne pożycie, gdzie napięcie uczuć do połowicy regulowane jest — pogodą. Od niej zależy na morzu wszystko; czy "*le premier après Dieu*" /pierwszy po Bogu/ —Kapitan, dobrą nogą wstanie rano i w dobrym humorze wyjdzie na mostek; czy załoga ze storpedowanego statku uratuje się, i czy będziemy dziś jedli ciepły obiad. I tu, niestałością swą morze zakasowuje nawet kobiety.

Bywa, że po wielu dniach pięknej pogody, przy wysokim barometrze, bez jednej chmurki na niebie i żadnego ostrzeżenia, zrywa się sztorm, który rzuca statkiem dnie i tygodnie. Lub odwrotnie; w zimowy, tygodnie całe trwający atlantycki sztorm, który wytrząsł już z załogi resztki chęci do życia, zabrał łodzie i większą część nadbudówek, kiedy już dochodzi się do wyczerpania ostatnich sił i repertuaru przekleństw — zza nisko wiszących poszarpanych chmur wyjrzy słońce, lub mrugnie zezem księżyc, wiatr ustanie i morze się uspokoi, tak, że w parę godzin później już tylko martwa fala kołysze oblodzonym, nadwyrężonym kadłubem statku.

Nigdy nie wiadomo, co może je podrażnić lub udobruchać. Wiadome jest tylko, że największą przeszkodą w harmonijnym pożyciu jest "ten trzeci" — kochanek wiatr. On to powoduje, że leniwie oddychający łagodną falą Bałtyk, nagle marszczy się, z ciemno-granatowego robi się szarawy, bruzdy pogłębiają się, zagony nabierają wysokości i porastając pianą, toczą się tysiącami hektarów na statek, z którym jeszcze godzinę temu żyły w zgodzie.

Pod wpływem wiatru, spokojne na ogół Morze Śródziemne, tygodniami całymi wścieka się, szarpiąc brzegi Afryki i Europy, krótką, złośliwą falą bijąc w burty statków. Ten sam też wiatr powoduje, że Morze Północne, płytkie, wzburzone aż do dna, uderzeniami brudnych fal spycha statki z kursu, wrzuca je na mielizny i tąm naigrawa się z ich bezwładności.

Lecz prawdziwe szaleństwa wyprawia wiatr z Północnym Atlantykiem. Nieskrępowany bliskością lądów, posiadłszy olbrzymie przestrzenie między kontynentami, rozpustnie żyje na nich przez większą część roku. Czasami rozpoczyna swój taniec u brzegów Europy, w Zatoce Biskajskiej, gdzie próbuje i ćwiczy się w podstępnych krokach, by po paru dniach z cynicznym chichotem wypłynąć na grzywaczach w pustynne wody Atlantyku, zmieść z powierzchni śmiałków, którzy nieopatrznie wypłynęli na morze w taką pogodę, i w rozpędzie wpaść do lesistej Kanady i północnych Stanów i tam łamać drzewa i słupy telegraficzne.

Czasami — choć rzadko — wiatr przybywa z południa; wtenczas oddech jego jest cieplejszy i zabawa trwa krócej, sprowadzając długotrwałe deszcze i mgły. Wizyty te są rzadkie i najmniej groźne. Są, jak to można określić polskim chłopskim przysłowiem, "jak starej baby taniec."

Piekło rozpoczyna swój taniec na Atlantyku, gdy zjawia się tam wiatr północny lub zachodni. W zimowych miesiącach wypadają one ze swych leży na Labradorze, Grenlandii, i Dalekiej Północy, w towarzystwie satelitów: Śnieżnej Zawiei, Mrozu, Lodu . . . i przy akompaniamencie piekielnej orkiestry okupują Północny Atlantyk, by przez parę tygodni bez przerwy uprawiać na nim swe diabelskie igrzyska.

Nie jest to zwyczajny kilkudniowy sztorm innych mórz, którego możliwości ograniczone są bliskością brzegów. Wiatr tu hula nieskrępowany z potworną siłą, która działając przez dłuższy okres z jednego kierunku, wzbudza to, co marynarze wszystkich flot nazywają "atlantycką falą."

* * *

Różnie zachowują się morza w zetknięciu z wiatrem. Bałtyk i Morze Północne mają krótką złośliwą falę, która wiele zdrowia i pracy kosztuje marynarza. Morze Śródziemne szybko porasta falą, nieco większą, niż tamta i często zmienia kierunek, jak gdyby namyślając się, gdzie przypuścić główny atak, i zanim rozwinie i przegrupuje siły — wyczerpuje się gdzieś na granicach archipelagu Egejskiego, u brzegów Libii, na włoskim bucie, lub skale Gibraltaru.

Atlantyk zaś w ciągu kilku dni zmienia swą lekko pomarszczoną powierzchnię w nieprzemierzone i nieprzeliczone łańcuchy górskie, które ruszone z podstaw, toczą się wszystkie w jednym kierunku, nieprzerwanie i wytrwale, jak gdyby biegły z zamiarem zmycia i zmieszania ze słoną granatowo-zimną swą zawartością, kontynentów, jakie staną im na drodze, i by potem, obiegłszy kulę ziemską, stać się jednym wielkim wodnym mocarstwem.

A nad tym wszystkim chichoce i wyje bez przerwy wiatr. Nie taki zwyczajny lądowy wiatr, co przewróci dwa płoty, złamie parę drzew i zerwie dach stodoły . . . I nie południowiec, cyklon z Morza Karaibskiego, czy tajfun z archipelagów Pacyfiku — wściekły, gwałtowny, lecz krótkotrwały. Tu działają piekielne, zda się, nigdy nie wyczerpujące się siły, których jedynym zamiarem i celem jest: Szaleć i Niszczyć!

* * *

Dziwnie i nienaturalnie wygląda konwój na atlantyckiej fali. Nie jest to już grzeczne stadko statków-kacząt, płynące pod opieką matki-komodora, po spokojnej powierzchni morza. Wiatr-jastrząb rozpędził je na całą szerokość widnokręgu, ponad który wyrastają raz po raz maszty któregoś ze statków rzuconego w górę siłą fali. Kolumny tracą szyk i giną na długie chwile poza wałami wodnych gór; tak, że tylko ciemne smugi dymu z ciężko pracujących maszyn mówią, że statki te jeszcze płyną, i że za chwilę zza grzbietu fali wychyli się wskazujący ku niebu dziób statku, lub z podniesioną ku górze rufą i pochylonymi naprzód masztami, usiłował będzie przebić się przez toczące się na niego wzgórze.

I nawet stojąc na mostku własnego statku z rozstawionymi szeroko nogami, ściskając miłośnie stalową podstawę działka przeciwlotniczego, by przy gwałtownych rzutach statku nie wylecieć za burtę, i patrząc jak jego dziób, to rufa, to znów cały statek ginie w morzu — nie można sobie tak dokładnie zdać sprawy z ogromu fali, jak obserwując statki w sąsiednich kolumnach. Bo wydaje się nieprawdopodobieństwem, by tamten oto statek, co właśnie w tej chwili wbił się w falę i znikł w niej cały z mostkiem, kominem, masztem — wypłynął już z niej kiedykolwiek. I mija parę długich, długich chwil, nim z piany przebije się dziób, a za nim, spływający setkami ton fali pokład i reszta szarego kadłuba.

I tak od 8-miu, 10-ciu, 14-tu już dni! A przecież statek handlowy to nie okręt podwodny!

* * *

*A propos* okrętów . . .

Jak złe cienie, wloką się one gdzieś za konwojem, czyhając na statki, które czy to uszkodzone falą, czy też z powodu defektów przepracowanych maszyn, zostają nieco z tyłu. Statki te przeważnie giną, tak jak zginął tydzień temu statek z naszego konwoju, który nie mógł utrzymać obrotów maszyny. Dostał torpedą w śródokręcie, fala złamała go do reszty, i złożywszy się jak scyzoryk, zatonął w parę minut z podniesionym ku górze dziobem i rufą.

I nawet nie było sensu zmieniać kursu i próbować ratować załogi, bo nie zdążyli spuścić szalup, a tratwy ich dawno zabrało morze i sztorm. Na powierzchni pozostały tylko przewracane falą drzwi od kabiny, pusta beczka po oliwie, parę desek, i automatyczna bojka elektryczna, która przerywanym światłem wołała o pomoc dla nieżyjącej już załogi.

* * *

Życie statku w konwoju na atlantyckiej fali . . . ?

Gdy wchodzi się w sztorm, biorą w łeb wszystkie obliczenia żonatych lub zakochanych optymistów, marzących o powrocie z podróży za 6-7-8 tygodni. Długość podróży zależeć będzie tylko od długości i wytrwałości sztormu. Okrętów podwodnych przeważnie nie bierze się pod uwagę; stuka się tylko w niemalowane drzewo, gdy ktoś o nich wspomni, i jak dotąd — pomaga nam to.

Później, gdy już z tydzień rzuca statkiem we wszystkich możliwych kierunkach, gdy ma się słoną wodę w korytarzu, kabinie, koji, herbacie i zupie; gdy brakuje już suchej bielizny na zmianę i wdziało się czwartą parę skarpet na zmarznięte nogi, które z tego powodu nie chcą zmieścić się w gumowe buty — zaczyna się kląć.

To jest najniebezpieczniejszy okres podróży i nie należy nikogo wówczas drażnić. Drobne sprawy, które w normalnych warunkach załatwiłoby się w dwu słowach — nabierają olbrzymiego znaczenia i rozmiarów. W tym okresie nikt rozsądny nie przypomni pierwszemu mechanikowi, że nic nie robi i pływa jak pasażer, starszemu oficerowi, że śpi, je i brzuch mu rośnie, ani radio-oficerom, że udają mądrych a są niepotrzebni . . .

W tym stanie napięcia, grożącego zerwaniem, bez uprzedzenią, wszelkich paktów o nieagresji, przechodzi drugi tydzień kołysania.

W trzecim, jeżeli jeszcze kiwa, zapomina się, że istnieją normalni ludzie, którzy żyją na lądzie w ustabilizowanych domach, wstają i chodzą spać w pewnych ustalonych godzinach, jedzą przy stole, który nawet nie drgnie przez cały czas posiłku, widzą wiele obcych twarzy codziennie i są ze swymi rodzinami przez cały okrągły rok, a nie składają im pięć-sześć parodniowych wizyt do roku, tak jak my.

Cały ten świat, podzielony na kraje, miasta, pola i ulice — wydaje się nierzeczywisty. A jeżeli nawet istnieje — to jest dalej, niż można to zmierzyć cyrklem na mapie Merkatora.

Koniec trzeciego tygodnia odznacza się spekulacją na temat daty wejścia do portu, długości postoju, i łudzeniem się możliwością otrzymania poczty. Poza tym, opowiada się kawały, które opowiadało się w czasie poprzedniej podróży, i politykuje zawzięcie.

W końcu nadchodzi jednak dzień, kiedy wiatr przynosi inny od soli zapach, horyzont ściemnia się, by po jakimś czasie odsłonić pierwsze słabe zarysy lądu. Później fala się zmniejsza, statek przestaje kołysać, wpływa się w zatokę, potem rzekę, i za parę godzin, z iskrzeniem łańcucha i pluskiem spadającego "żelaza" kotwiczy się u stóp Posągu Wolności.

I nie należy się dziwić, że w parę godzin później, po wyjściu na pokład wydaje się, że ta pani w greckiej szacie, stojąca tam wysoko, słania się nieco na nogach, i nie pochodnię, ale puhar podnosi ku górze . . .

* * *

I tak mniej więcej kończy się pół szczęśliwej podróży. Czeka nas tylko jeszcze powrót, z tym, że marynarzowi wiatr zawsze w oczy wieje . . .

STEFAN GAZEŁ

# W 25-ą rocznicę bitwy kaniowskiej

## 10-11 maja 1918 r.

Ostatni rok pierwszej wojny światowej obfitował w wypadki pierwszorzędnej wagi politycznej. Każdy prawie miesiąc owego roku 1918 przynosił doniosłe zdarzenia w końcowym etapie rozwoju sprawy polskiej.

I tak w styczniu 1918 r. wydał Prezydent Stanów Zjednoczonych A.P. W. Wilson orędzie do Kongresu, zawierające 14 punktów pokoju, z których punkt 13-ty dotyczył sprawy Polski. W lutym — po zawarciu pokoju brzeskiego ze szkodą dla Polski, gdyż państwa centralne przyznały Ukrainie Chełmszczyznę i Podlasie — Rada Regencyjna Królestwa Polskiego, zaprotestowała oświadczając w swym orędziu, iż odtąd czerpać będzie swą władzę z woli Narodu Polskiego /a nie jak dotąd z aktów: listopadowego i wrześniowego państw centralnych/.

Zdradziecki i wiarołomny pokój brzeski wywołał w całym Narodzie Polskim olbrzymie oburzenie i protesty, a w Krakowie i Lwowie urządzono demonstracje. Najsilniej jednak, bo z b r o j n i e, zaprotestowała przeciw brzeskiemu wiarołomstwu II-ga Karpacka Brygada Legionów, która w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r. przebiła się — pod wodzą brygadiera Józefa Hallera — pod Rarańczą w północnej Bukowinie przez front austriacki na Podole, aby połączyć się z II-im Korpusem Polskim formowanym na Ukrainie.

Przebicie się Brygady udało się tylko częściowo, gdyż przedarły się jeno piechota i kawaleria, a natomiast artyleria i inne formacje zostały przez wojska austriackie zatrzymane. Kilka tysięcy żołnierzy aresztowano i osadzono w obozie jeńców w Huszt na Węgrzech. Wytoczono im proces o zdradę stanu i bunt, który toczył się w Marmarosz — Sziget; proces ten jednak, z obawy przed oburzeniem całego Narodu Polskiego oraz w obliczu zbliżającej się klęski państw centralnych, został przez ostatniego z Habsburgów, cesarza Karola I., umorzony.

Brygadier Józef Haller przemaszerowawszy przez Podole i część Ukrainy, gdzie w marcu połączył się z II-gim Korpusem i objął nad nim dowództwo, stanął nad Dnieprem. Stojący na Ukrainie Niemcy rozpoczęli z brygadierem rokowania, żądając poddania się i złożenia broni. Na te żądania usłyszeli stanowczą, mimo nierównych sił, odpowiedź: nie! Wówczas napadli Niemcy na stojące pod Kaniowem wojska II-go Korpusu i doszło do dwudniowej bitwy, 10—11 maja 1918 r., która — wskutek wyczerpania amunicji — mimo bohaterskiej obrony nie została uwieńczona zwycięstwem.

Część żołnierzy dostała się do niewoli niemieckiej, a reszta — rozdzieliwszy się na drobne grupy — rozproszyła się, zdążając różnymi drogami pod sztandary polskie innych formacyj wojskowych. Brygadier Haller przedostał się do Moskwy, skąd wydawszy rozkaz wzywający wszystkich żołnierzy Polaków, by skupiali się w oddziałach polskich, walczących przy boku państw koalicyjnych do dalszej walki z Niemcami, dotarł do Murmańska. Stamtąd z początkiem lipca pośpieszył do Paryża, by objąć naczelne dowództwo Armii Polskiej tworzącej się we Francji, która gotowała się do zadania Niemcom ostatniego ciosu.

Tak więc końcowymi etapami istnienia i walk II-giej Brygady były: Rarańcza i Kaniów, z których pierwsza była — protestem zbrojnym, a drugi — obroną honoru żołnierzy-Polaków.

Jedynie II-ga Brygada była tą polską jednostką wojskową, która stoczyła boje ze wszystkimi trzema rozbiorcami: najpierw bowiem walczyła z Rosjanami, pod Rarańczą zaś z Austriakami, a wreszcie pod Kaniowem z Niemcami.

W czerwcu 1918 r. Wielka Brytania, Francja i Italia wydały deklarację w Wersalu, uznającą utworzenie niepodległego, zjednoczonego, z dostępem do morza państwa polskiego za jeden z celów wojny i jeden z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju.

W nocy z 30/31 października 1918 r. pierwszy zrzucił pęta niewoli Kraków, a w listopadzie Warszawa i z tą chwilą ziemie polskie zaczęły odzyskiwać byt niepodległy, na drodze orężnej /Wielkopolska, Ziemia Czerwieńska, Śląsk i Kresy Wschodnie/.

W ostatecznym rezultacie wspólnego wysiłku całego Narodu Polskiego powstało Państwo Polskie w granicach z przed obecnej wojny, w granicach zachodnich i północnych, z punktu widzenia pokoju europejskiego i obrony ze strony Polski — niekorzystnych.

Składając, w 25-tą rocznicę Rarańczy i Kaniowa, hołd poległym żołnierzom polskim oraz cześć ich Wodzowi, jesteśmy pewni, że obecny wysiłek zbrojny i epopea polskiego żołnierza, lotnika i marynarza, walczących bohatersko pod rozkazami Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, przyniesie nie tylko wyzwolenie Polski z pod buta barbarzyńskiego najeźdźcy, ale — dla trwałego i sprawiedliwego pokoju — uzyska dla Niej strategicznie korzystne na północy i zachodzie granice.

*Deus mirabilis, fortuna variabilis, Polonia immortalis!*

*FRANCISZEK LENCZOWSKI*

***Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie***

# Wspomnienia z oblężonego Tobruku

II.*

Szybko mknęły auta, mimo silnych wstrząsów powodowanych przez dziury w asfalcie szosy. Z auta widziałem jedynie drogę uciekającą spod tylnych kół wozu. Powoli zbliżaliśmy się do huków dochodzących z pustyni. Na odcinku nieba, ograniczonym krawędzią dachu samochodu ciężarowego i północnym horyzontem błyszczał gwiazdozbiór Liry w całej swej świetlanej krasie. Dziwne, że to ta sama Lira, co wisiała nad Aleksandrią nocy wczorajszej i że to ta sama Waga — przewodniczka Liry, przyjaciółka wieczorów i towarzyszka nużących podróży. I to ciekawe, że Lira wędrowała za nami szosą, choć jechaliśmy szybko. Później auto zjechało z prostej drogi i Lira się gdzieś zawieruszyła.

Jechaliśmy wertepami i wybojami. Gwiazdy zaczęły tańczyć, ponieważ samochód podskakiwał. Leje w piasku były bardzo głębokie. Gwiazdy tak skakały na wycinku nieba w samochodzie, że nie mogłem wśród ich szalonych podrygów rozpoznać nawet starych, dobrych znajomych. Obłędny taniec gwiazd i kołysanie samochodu przyprawiło mnie o mdłości zupełnie takie same, na jakie cierpiałem na okręcie.

Po godzinie jazdy zauważyłem z obu stron drogi ciągnące się wzgórza. Wjechaliśmy w szeroką dolinę i powoli zbliżaliśmy się do zbocza jednego z wzgórz piaszczystych. Mijaliśmy jakieś auta i czołgi samotnie pozostawione na polu. Wreszcie nasz samochód zatrzymał się. Naokoło były opustoszałe wydmy i przy bladym świetle zachmurzonego księżyca dostrzegałem zaledwie kontury wzgórz sąsiednich.

Sprawdzono stan i kazano przygotować menażki. Pierwszy posiłek na froncie przygotowali nam koledzy z oddziału kwaterunkowego i nasi australijscy przyjaciele. Podchodziliśmy po kolei do dymiącego kotła i do skrzyni, przy której wydawano chleb z dżemem. Teraz dopiero stojąc w kolejce poczułem, że noc jest zimna a wiatr przenikliwy. Doczekałem się wreszcie herbaty i usiadłem na stopniach samochodu, bo nie lubię jeść na stojąco.

Podniosłem menażkę do ust. Splunąłem po pierwszym łyku. Zamiast słodkiej herbaty miałem w ustach słonawą letnią ciecz. Strach mnie ogarnął na myśl, że trzeba się będzie przyzwyczajać do tego obrzydliwego napoju. Ale nie taki diabeł straszny jak go malują. Do wszystkiego człowiek się z czasem przyzwyczaja.

Po posiłku rozdawano koce /po cztery koce na twarz/ i trzeba się było przygotować do dalszej drogi. Myślałem, że stąd zawiozą nas do żelbetonowych fortów, o jakich słyszałem przedtem z legend o Tobruku. Przypuszczenie to, jak i nadzieja, że będziemy się bili na przedmieściach okazało się bezpodstawne. Miasteczko tej sławnej już nazwy jest zbyt małe, żeby się mogło samo opierać oblegającym oddziałom. Linie obronne rozciągały się daleko od samego miasta. Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę oficer z kwatermistrzowstwa Brygady dał nam parę zasadniczych wyjaśnień:

—“ Miasto wyewakuowane zostało już dawno. Nie ma w okolicy żadnej ludności cywilnej. Pierwsze linie znajdują się w odległości 4 do 6 mil od miasta. Obrona polega na pierścieniach oporu, między którymi przestrzeń jest zaminowana. Parę tygodni przed naszym przybyciem Niemcy usiłowali zdobyć Tobruk. Przebili pierwsze linie oporu i dotarli pod samo miasto. Bohaterstwo Australijczyków i artylerii angielskiej, która strzelała ogniem bezpośrednim do czołgów uratowało twierdzę. Polakom przydzielono zachodni odcinek frontu i część południowego. Każdej chwili należy się spodziewać ataku wojsk spadochronowych. Cały teren twierdzy jest pod zasięgiem artylerii z wyjątkiem paru jarów nad morzem. Naloty powtarzają się bardzo często. Za chwilę przewodnicy zaprowadzą nas na miejsce, gdzie mamy czekać na dalszy transport do właściwego frontu. Miejsce to nazywa się eszelon B.”



*Stanowisko ogniowe cekaemu o zmroku*

Poza tym dodał, że racje wody i żywności są ściśle ograniczone, ale wkrótce się oswoimy z życiem frontowym i wszystkimi jego niewygodami.

Miało to nie za długo nastąpić . . . Ekwipunek zdjęty przy posiłku /nie było to ani śniadanie ani kolacja/ stał się dużo cięższy, niż przedtem. Trzeba było znów maszerować kawałek drogi po wąskich piaszczystych ścieżkach. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie przewodnik z oddziału kwaterunkowego powiedział:

—“ To już tu.”

Rozejrzałem się wokół. Przy świetle księżyca nie widać było nawet dziury lub rowu, gdzie można by się schronić. Wydano nam łopaty i każdy musiał sobie wykopać rów i znaleźć wśród rupieci walających się na pustyni jakąkolwiek deskę lub blachę na dach. A więc to być miała forteca, owa osławiona twierdza Tobruku, gdzie trzeba było kopać dołki, żeby się ukryć przed możliwym obstrzałem.

Wziąłem się gorliwie do kopania. Lecz nadmiar gorliwości nie dobrą jest rzeczą. Wkrótce tak się zmęczyłem, że musiałem położyć się do płytkiego rowu, który wykopałem, by choć chwileczkę odpocząć. Zasnąłem natychmiast.

Obudził mnie dotkliwy chłód przedświtu. Nie było to przebudzenie. Przez chwilę nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Miałem w ustach smak słonej herbaty i coś jeszcze kołysało mi się w głowie po morskiej podróży. Ogarnęła mnie na chwilę tęsknota za łóżkiem, za pokojem z białymi firankami, za kranem pełnym czystej, źródlanej wody. Tęsknota minęła szybko, lecz później jeszcze długo powtarzały się sny o źródełkach, strumykach górskich, studniach i kranach.

Robiło się powoli coraz jaśniej i zorientowałem się, że cały mój pluton rozsypał się po rowach i dołach świeżo wykopanych. Teraz dopiero mogłem stwierdzić, że owe czołgi i samochody, które widziałem w nocy nie są tym, za co je wziąłem. Wokoło rozciągało się cmentarzysko pojazdów rozbitych i popalonych. Na piasku leżało mnóstwo najrozmaitszych porzuconych przedmiotów. Leżały puszki i butelki, kawałki blachy nieznanego pochodzenia rozsiane rzadko w okolicy. Gdzieniegdzie walał się kask tropikalny bez właściciela, hełm podziurawiony jak sito, kawałki karabinu lub inne części ekwipunku. Znak, że toczyła się tu kiedyś bitwa.

Obok mego rowu Józio wykopał sobie jamę. Trzeba było ją pokryć jakimś dachem, bo dzień się zbliżał a z nim afrykański upał. Wybraliśmy się z Józiem po materiał z kilofami w rękach. W krótkim czasie oprawiliśmy ze skóry parę rozbitych aut i jedną tankietkę i z tym łupem powróciliśmy do naszych nor. Pokryłem mój rów dachem i zamaskowałem piaskiem. W rowie zrobiłem sobie fotel z wydartego z mięsem siedzenia w kabinie szoferskiej. Nora moja była ciasna i duszna.

Przed świtem jeszcze dostaliśmy śniadanie. Herbata znowu słona, lecz zdołałem ją już wypić, chociaż wymagało to wielkiego wysiłku woli. Dowódca plutonu powiedział, że w ciągu dnia nie wolno się kręcić, bo mimo dość dużej odległości od nieprzyjaciela mogą nas zaobserwować przez lunety lub może być nalot. Wszedłem do rowu i zacząłem zastanawiać się nad wszystkim. Myślenie wprowadziło mnie w pół-sen, który po chwili zamienił się w głęboki, pokrzepiający sen bez marzeń . . .

Od strony miasta dochodziły silne detonacje i warkot silników w powietrzu. Był nalot. Poczułem miłe zadowolenie, że znajduję się w rowie i zdawało mi się, że jestem bezpieczny. Jeśli bomba spadnie obok, niewiele stać mi się może, bo jestem w rowie. Najwyżej ogłuszy. Jeśli uderzy w sam rów lub rozerwie mnie podmuchem, to odbędzie się to tak szybko, że nawet nie poczuję najmniejszego bólu. Zresztą czy śmierć jest rzeczą tak straszną? Od chwili wyjazdu z Aleksandrii miałem przeświadczenie, że zbliżam się ku warsztatowi śmierci, i że będę musiał żyć z nią w sąsiedztwie. A z sąsiadami lepiej żyć w zgodzie. Coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu, że śmierć nie jest rzeczą straszną. Natarczywie nasuwało się na myśl pytanie: “ Co będzie potem? Co jest po tamtej stronie, skąd nikt nie powraca? — ”

Przez czas długi przed wyjazdem na front oddaliłem się bardzo od religii. Przyczyną tego była niechęć do surowej dyscypliny myślowej i etycznej oraz pewna lekkomyślność, lekkoduszność w stosunku do życia. Na froncie sprawdzało się na mnie stare przysłowie: “ Jak trwoga to do Boga.” Lecz lęk /uczucie bardzo ludzkie/ nie był głównym motywem mego powrotu do religii. Wielką pociechę sprawiała mi myśl, że ciało zmartwychwstanie w chwalebnej glorii i nieprzemijającym szczęściu, chociażby je pogrzebano we wnętrznościach pustyni, choćby je pochłonęło bezgraniczne morze. Czemuż się więc bać śmierci?

Upał się zwiększał a nalot nie ustawał. W mojej norze zrobiło się potwornie gorąco. Pociłem się i chciało mi się strasznie pić. W manierce panowała bezwzględna susza. Przed oczami miałem coś w rodzaju mgły i po głowie tułały mi się dawno słyszane słowa modlitwy: “ *Non intres in judicio cum servo tuo Domine* ” — Panie, nie sądź sługi Twego . . . Słowa te kiedyś słyszałem na pogrzebie matki . . . A potem ni stąd ni z owąd przywlokły się zapewnienia “ Savitri ” Kasprowicza: “ Nie śmierć Ci ja niosę, lecz nieznającą kresu nieśmiertelność . . .”

Miałem w chlebaku mszalik. Zabrałem go odruchowo, jak paszport na daleką drogę. Obawiam się, że nie uniknę śmieszności przyznając się do tego, że wiozłem ze sobą takie mnóstwo książek, ale napewno nikomu nie wyda się dziwne, że zabrałem mszalik. Poprzednio prawie nie brałem go do ręki i trzymałem raczej dla tradycji, niż dla potrzeby. Nalot słabł a ja wyciągnąłem mszalik i bezwiednie otworzyłem go na słowach modlitwy, co mi się przed chwilą przypomniała. Była to modlitwa za zmarłych. Napewno podczas tego nalotu, pośród tej strzelaniny niejeden już skonał i niejeden wił się w bólu. Otworzyłem mszalik i czytałem, kiedy niedaleko przechadzała się śmierć, jak Anioł Zabójstwa w Dzień Przejścia Pańskiego.

“ *Non intres in judicio cum servo tuo* . . . ” — podniosłem głowę z nad książki i myślałem: “ Nie sądź mnie Boże. Bo jeśli będziesz sądził, nie znajdziesz nikogo na świecie bez winy . . . Ale właściwie Tyś sam winę stworzył. Przed Początkiem nie było winy. Tyś był przed winą. Duch Twój ją stworzył, jak wszelkie inne rzeczy na ziemi. Tyś pra-przyczyną winy . . . ” Zdałem sobie naraz sprawę, że to graniczy z bluźnierstwem, lecz wcale mnie to nie przeraziło. Poczułem w sobie nagle obecność Boga, i to, że jestem stworzony na jego podobieństwo, jak każda dusza ludzka. Poczułem w sobie moc przebaczania, tę górną wyrozumiałość i zgodę na rzeczywistość . . . Aż do wieczora przeleżałem w schronie.

Następny dzień był podobny do pierwszego z tą tylko różnicą, że nie było nalotu. Na horyzoncie wznosiły się tumany kurzu wywołane wybuchami pocisków. Na ścianie rowu zawiesiłem przy pomocy kamienia i sznurka obrazek Matki Boskiej. Czułem się zupełnie dobrze w nowym “ mieszkaniu.” Zrobiłem porządek w plecaku i włożyłem książki do worka.

Wcześnie rano kopaliśmy ustępy. Podczas pracy zauważyłem kupę butelek od piwa leżących blisko spalonego samochodu. Przyszła mi do głowy psotna myśl, by rzucać kamieniami do flaszek. Postawiłem jedną z nich na puszce benzyny i rzucałem kamieniami. Musiałem bardzo dużo kamieni rzucić zanim rozbiłem butelkę. Nabrałem wtedy ogólnego pojęcia o skuteczności ognia artylerii. Trudno trafić, ale jeśli się długo w to samo miejsce celuje i sprawdza się celowanie, to się w końcu trafi.

Cały dzień znów leżałem w mej norze i szperałem w książkach. Nie przypuszczałem przed tym, że na wojnie można mieć tyle czasu na czytanie. Po południu podpełznąłem do schronu Józia i rozmawialiśmy parę godzin. Ciekawe, że nie rozmawialiśmy o wojnie. Ze wszystkich książek, które miałem ze sobą najbardziej zgodna była z moim nastrojem Biblia.

Po trzech dniach oczekiwania powiedziano nam, że mamy jechać na stanowiska. “ Mały kapitan ” postawił pytanie całej kompanii:

—“ Kto nie chce jechać na linię? ”

Oczywiście, nikt taki się nie znalazł. Wyjechaliśmy czwartego dnia wieczór zaraz po zachodzie słońca.

Księżyc oświetlał pustynię. Cicho było wokół. Zdala nie dochodziły żadne huki, żadne odgłosy. Droga była bardzo nierówna i poorana pociskami. Mijaliśmy znowu cmentarzyska poległych samochodów. Po kilkunastu minutach jazdy zjechaliśmy ze szosy na wąską drogę pośród pól minowych, wytyczoną rzadko rozstawionymi puszkami od benzyny. Szybkość się zmniejszyła, bo trzeba było jechać ostrożnie. Dotarliśmy do miejsca, skąd prowadziły do stanowiska dwie wąskie ścieżki pośród pól minowych. Ścieżki były wyznaczone taśmą.

Zmienialiśmy Anglików. Jeden z nich poinformował mnie, że w dzień stanowiska są silnie ostrzeliwane przez artylerię nieprzyjacielską. W nocy czasem strzelają, ale nie tak często, ze względu na zmniejszoną skuteczność. Przedwczoraj zginął ich dowódca plutonu. Korzystając z chwili odpoczynku w czasie noszenia skrzynek z amunicją i sprzętu zająłem dla siebie i Józia wygodne miejsca w najbliższym schronie.

Gdy ukończyliśmy znoszenie naszych gratów, Anglicy odjechali, zostawiając tylko dwóch młodziutkich sierżantów, którzy mieli nas zapoznać z nowymi warunkami i wprowadzić w nowy tryb życia. Drużynowy zaczął rozmieszczać drużynę po schronach i ku mojemu oburzeniu wyrzucił mnie i Józia z wybranego miejsca. Musieliśmy się przenieść do innego schronu. Drużynowy tłumaczył się, że będzie miał bliżej do stanowiska ogniowego cekaemu.

Zabrałem swoje rzeczy i wolnym krokiem powlokłem się do innego mieszkania. Przy świetle zapałki mogłem rozejrzeć się w schronie. Była to budowla z kamieni, desek i blachy, głęboko osadzona w ziemi i pokryta workami z piaskiem, z zewnątrz zamaskowana siatką. Ściany były dość wysokie i wnętrze przestronne, lecz przeraźliwie puste. Nikt tu oddawna nie mieszkał, bo na ziemi wyścielonej kocem leżała cienka warstwa pyłu. W kącie wisiała jakaś szmata. Zbliżyłem się, by rozpoznać w jakim celu została zawieszona. Był to czysty i miękki kawałek lśniącej tkaniny zawiązany na drążku wystającym z sufitu. Któż mógł to powiesić i po co? Nie byłem w stanie rozwiązać tej zagadki.

Szybko rozłożyliśmy koce i poukładaliśmy w kącie nasze rzeczy. Józio zabrał karabin i poszedł na czuwanie przy cekaemie. Długo nie mogłem zasnąć. Schron wydawał mi się przeraźliwie pusty i odczuwałem lęk, jak gdybym był zamknięty w grobowcu. Józio wyszedł na parogodzinną wartę a ja się czułem osamotniony w niesamowitej atmosferze schronu. Coś mnie denerwowało. Coś, czego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Czy to może owa zagadkowa płachta zawiązana na węzły? Miałem wrażenie, że znajduję się w miejscu tajemnego kultu i że ta szmata zawieszona jest nad moją głową jak zaklęcie. Józio śmiał się, kiedy mu nie pozwoliłem jej zdejmować. Długo mnie przekonywał, że to napewno jakiś przesąd, lecz ja się uparłem. — “ Niech zostanie ” — powiedział Józio i ustąpił. Zostawił szmatę w spokoju.

Czułem się nieswojo. Niepokoiła mnie myśl pełna gorączkowej ciekawości: “ Jak będzie wyglądało jutro? . . . ” Tymczasem jeszcze była noc przed dniem jutrzejszym a ja leżałem w tej dziwnej norze, zamyślony i sam. Ciążyła mi ta samotność, chociaż okazało się, że była ona pozorna. Miałem już zasnąć, kiedy nagle poczułem pod kocem obecność małego, ruchliwego stworzenia, pokrytego sierścią. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia i podskoczyłem na posłaniu. Usłyszałem cichutki odgłos kilku drobnych susów i chrobotanie pazurów o drzewo. Zapaliłem zapałkę: z szczeliny w ścianie patrzały na mnie dwa małe błyszczące ślepia i śpiczasty nos gryzonia. Bagnet rzucony w tamtym kierunku nie dosięgnął celu, lecz sparł się o krawędź szczeliny. Choć gryzoń zniknął, jego obecność w schronie zdradzało ciągłe chrobotanie. Nakryłem się kocami i próbowałem zasnąć. Udało mi się to w końcu.

*BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI*

* Por nr. 16-17 “ Polski Walczącej ” z b.r.

# W szwajcarskiej świetlicy

Przez czas długi nie mieliśmy żadnej świetlicy. Chodziło się do najrozmaitszych knajp, ostatecznie jednak ustaliła się jedna — mała, wiejska restauracja, leżąca na uboczu, która miała tę wielką zaletę, że oddano do naszej dyspozycji nieduży pokoik, gdzie znajdowało się pianino, kominek i . . . telefon. Drugą zaletą, bynajmniej nie mało ważną, była obsługa, mianowicie córki właściciela knajpy, panny skromne i inteligentne. Zwłaszcza starsza, oczytana i muzykalna, kochała się w poezji i malarstwie. W naszym środowisku, i wobec tego, że właściwie nie mamy żadnych kontaktów z ludnością cywilną było to istotnie atrakcją.

W "naszym" pokoiku można było siedzieć cały wieczór i nikt się nie spytał: co zamawiamy? Nie oznacza to jednak, iż obsługa była zła. Nie, panna tylko wiedziała, że z naszymi funduszami jest na ogół krucho i nie chciała nas zmuszać do konsumpcji. Z czasem wszedł w życie dziwny zwyczaj, iż w tej restauracji piło się najwięcej . . . mleka. Bo mleko było najtańsze i zastępowało drugą kolację.

Wieczory jesienne i zimowe spędzało się najczęściej przy kartach, grając zawzięcie w nieszkodliwe "kierki," czytywało się, dysputowało, flirtowało odrobinkę. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, gospodarze — z inicjatywy oczywiście córek — urządzili dla nas mały, wzruszający obchód. Gdyśmy, jak zazwyczaj przyszli wieczorem, na stole stała mikroskopijna choineczka, paliły się świeczki, a wielki półmisek wypełniony był orzechami i jabłkami.

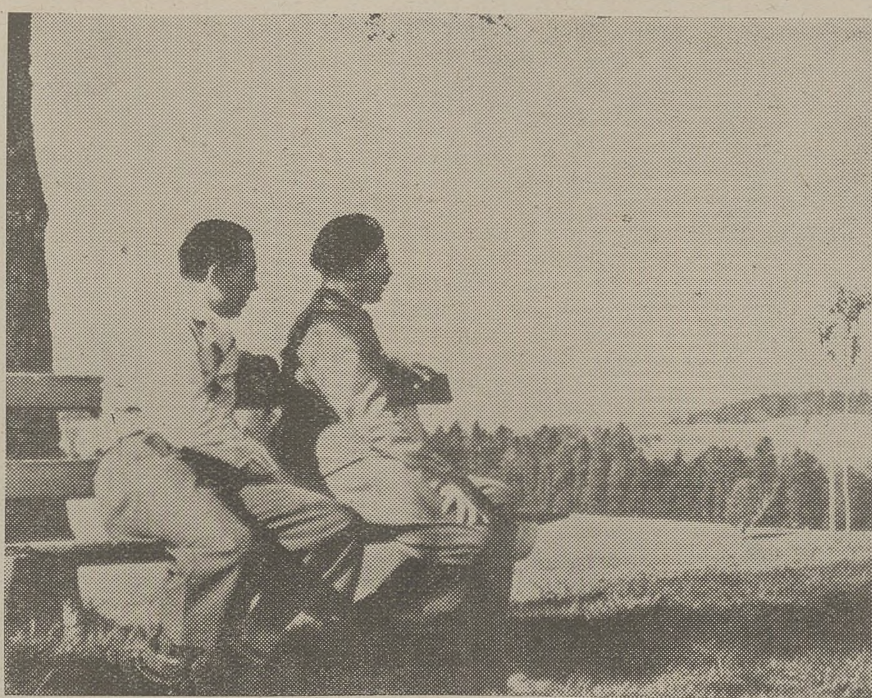
Wśród ludności obojętnej, która "wykupiła" się od wszelkiej łączności z nami podczas świąt darem 50 fr. /przekazaliśmy je natychmiast na rzecz jeńców w Niemczech/, odruch ten był i piękny i chwytający za serce, zwłaszcza że pochodził ze strony ludzi, którzy z racji swego zawodu powinniby uznawać tylko interes.

Tak zeszło na wiosnę. Lecz gdy słońce zaczęło przygrzewać, ilość gości w małym pokoiku zaczęła gwałtownie spadać, aż pozostałem jedynie ja — wierny nie tylko pokoikowi. Potem i te nici trzeba było gwałtownie zerwać, nie bez bólu. Lecz nie o tym zamierzam pisać. Do naszego obozu przeniesiono i inne instytucje, a YMCA urządziła świetlicę. Zrazu frekwencja w niej nie była wielka: wiosna, lato. Jedynie w ogrodzie pracowaliśmy dorywczo, dając swą dobrowolną pracę na rzecz pomocy dla jeńców w Niemczech, co w rezultacie przyniosło wcale piękny zysk i ładnych kilkadziesiąt 5-kilowych paczek dostało się do rąk o tyleż od nas nieszczęśliwszych towarzyszy broni.

Pod koniec lata wyłoniła się kwestia urządzenia kantyny, jako jednego z magnesów naszej świetlicy, no i źródła dochodu na jakiś cel społeczny. W pomocy kantyny pomogła YMCA i zrazu obsługą jej zajęło się dwóch kolegów-szeregowców. Po półmiesiącu dowiedzieliśmy się, że dochód wyniósł kilkadziesiąt franków i że podzielili się nim obaj kantyniarze. To zmusiło nas do zastanowienia się. Coś tu nie jest w porządku. Wprawdzie rozumieliśmy, że trudno wymagać od kogoś, by wszystkie wieczory oraz całe niemal dni świąteczne poświęcał bezinteresownie dla naszego dobra, lecz czy nie można tego jakoś inaczej zorganizować?

Z tych rozważań wyłoniła się nasza "samopomoc świetlicowa" i jej zarząd, z którego dwóch członków przejęło kantynę pod swój zarząd i aczkolwiek uchwała przewidywała wynagrodzenie franka dziennie za prowadzenie kantyny — obaj ci członkowie po upływie kadencji zrzekli się swego wynagrodzenia, przeznaczając go wraz z resztą wpływów na pomoc dla naszych jeńców w Niemczech. Wyniosło to kilkadziesiąt franków za okres dwóch tygodni i stało się precedensem dla następnych dwugłowych zespołów.

Rzekło się lekko: "przeznaczyli na jeńców"; w praktyce jednak sprawa ta nie przeszła tak gładko, o przeznaczeniu bowiem zysku z ogrodu i kantyny decyduje samorząd, czyli w praktyce cały obóz. Aczkolwiek zaś obóz jest mały, to — wiadomo — gdzie jest dwóch Polaków, mamy trzy zdania. Tak i tu. Na jaki cel przeznaczyć dochód: na jeńców naszych w Niemczech, czy też po połowie na jeńców i na Polaków w Rosji?



*Przed gościnnym pejzażem*

Zagadnienie to wywołało gorącą dyskusję i rozciągnęło się na parę walnych zgromadzeń. W grę wchodziły nie tylko przesłanki rozumowe, lecz i nastawienie uczuciowe do tych spraw i obóz podzielił się na 3 grupy: zwolenników przeznaczenia pieniędzy tylko na jeńców, zwolenników podziału i — jak to zwykle bywa — na obojętnych.

Zwolennicy jeńców wskazywali na to, iż pomoc dla Polaków w Rosji płynie szeroką strugą z krajów anglosaskich i znajdujących się tam rodaków, nie mówiąc już o pomocy z ramienia rządu polskiego, natomiast jeńcy obecnie skazani są niemal wyłącznie na pomoc głównie ze strony organizacyj szwajcarskich, jak również nielicznych już krajów neutralnych Europy. Że nasza pomoc niezawodnie i szybko dotrze do potrzebujących jej towarzyszów broni, podczas gdy skierowana przez Anglię do Rosji wymagać będzie długiego czasu i rozpłynie się bez śladu w bezkresnych pustkowiach rosyjskich, gdzie nieszczęśliwe masy naszych uchodźców błąkają się, przewalają z miejsca na miejsce. I jak w takich warunkach, w chaosie wojny i ewakuacji milionowych mas, wierzyć w dotarcie indywidualnej paczki?

Natomiast zwolennicy pomocy także i dla Polaków w Rosji wysuwali głównie argumenty natury uczuciowej, mówili o symbolicznych gestach, o tym, że w okazywanej naszym tam rodakom pomocy nie powinno zabraknąć i przysłowiowego "wdowiego grosza" internowanych.

Rozwinięto zapamiętałą agitację, przy czym dochodziło niejednokrotnie do zabawnych momentów, gdy n.p. taki "bezpartyjny," któremu to wszystko ostatecznie "u pleców wisi," zapisał się do głosu, zdrzemnął się, znużony, a wezwany do wypowiedzenia swego zdania oświadczył, że "właściwie to on głosuje tak, jak jego poprzednik" . . . "To znaczy jak — przerwał nieubłaganie przewodniczący — za pomocą dla Polaków w Niemczech, czy w Rosji?" "W Niemczech" — odparł speszony, mrużąc oczy w świetle lampy. A właśnie jego przedmówca wypowiadał się przeciwnie. Ostatecznie jednak wniosek "niemiecki" przeforsowano.

Z tego by wynikało, że życie społeczne jest u nas ożywione, że nasza świetlica, co chętnie podkreślano, jest jak gdyby przedszkolem do przyszłej działalności społecznej i samorządowej, bo uczy tworzenia własnych sądów i umiejętności ich wypowiadania. Niestety jednak, nie zawsze i nie u wszystkich idee te znajdują uznanie. Wielu kolegów przychodzi do świetlicy jedynie w dniach "urzędowych" zbiórek i natychmiast po ich zakończeniu ucieka jak z domu zapowietrzonych, chadząjąc po wsi — jako ten kot Kiplinga — sobie tylko znanymi drogami. Dla innych natomiast świetlica stała się drugim domem, dokąd się przychodzi, by znaleźć ciepło i światło, partnera do kart czy szachów, gwar koleżeńskich głosów, radio, kantynę . . .

Właśnie: kantynę. Bo właśnie po upływie jednej i drugiej półmiesięcznej kadencji nadszedł czas, by dać dowód swego uspołecznienia, by zaofiarować na rzecz ogółu swój wolny czas i swoją pracę. W tym sęk! Okazało się wówczas jak bardzo "zapracowani" są członkowie naszego obozu. Ten oczekiwał na przyjazd żony z Francji, ów miał pilne zajęcia służbowe, trzeci "nie miał zdolności kupieckich," czwarty "nie umiał żebrać," inni nie odmawiali kategorycznie, lecz może tak po Bożym Narodzeniu, albo jeszcze lepiej . . . po internowaniu. Cóż więc było począć? Zamknąć kantynę, albo wyznaczyć ludzi "z urzędu." Ale co wówczas z t.zw. samorządem świetlicowym? Burzliwe debaty zajęły niejeden wieczór, wreszcie krakowskim targiem, na poły dobrowolnie, na poły: bo wyznaczono — znalazła się następna ekipa i kantyna kontynuowała swą egzystencję.

Co może posiadać kantyna w warunkach, kiedy niemal wszystkie produkty są racjonowane? Papierosy, piwo, moszcz, zapałki, wino. Może jeszcze nici, których nikt nie kupuje, albo takie towary, jak orzełki, guziki, pocztówki. Ale kawa, herbata, cukier do tych napojów, ciastka, jakieś tam gorące kiełbaski — wszystko to jest nieosiągalne. Sytuacja pogorszyła się, kiedy został racjonowany chleb i mleko i taki stan rzeczy zastała nowa kadencja "kantyniarzy," w której znalazł się autor tych słów.

Ambicją zaś każdego zespołu jest, by dochód z kantyny był jak największy. Nie dlatego, że mają z tego jakąś osobistą korzyść, lecz że każde 6 franków oznacza jedną paczkę więcej dla jeńców. Rozejrzawszy się w sytuacji postanowiłem podnieść cenę litra czerwonego wina o 10 rapów, czyli do 2 fr., wychodząc z założenia, że jest to przedmiot zbytku i ktoś, kogo stać na 1,90 fr. — stać i na 2 fr. Zwłaszcza, że ten sam litr wina, wypity w restauracji, kosztuje 4 fr. Na to jednak odpowiadali przeciwnicy, że "gdy idę do kafejki, to mam dokoła siebie cywilną publiczność i kelnerkę, którą mogę . . . poklepać "/ jeśli nikt nie widzi./ Argumenty zatem wcale poważne. Poza tym wypisałem na tablicy wielkimi literami: szklanka herbaty z cukrem 15 rap., z sachaRyną — 10 rap. To jednak nie było wszystko. Można przecież było przyrządzać t.zw. kanapki. W jadalni zawsze pozostawało nieco chleba, skoro się więc kupiło sardynek, białego odtłuszczanego sera, który nie podlegał racjonowaniu i zastosowało plasterki pomidora oraz celem ozdoby — korniszon, to kanapki były nawet wcale efektowne i apetyczne. Twierdzono zresztą, i słusznie, że najeść się nimi nie można, co najwyżej podrażnić apetyt i — kieszeń, ponieważ cenę na te kanapki wyznaczyłem 30 rapów. Koledzy sarkali, lecz mało który oparł się pokusie.

Zwolna jednak narastała opozycja. Dowiedziałem się z "poufnego" źródła, że sprawa "samowolnej podwyżki cen" ma być podniesiona na najbliższym walnym zebraniu. Taż sama życzliwa mi osoba dodała:

—"Po co pan kładzie na kanapkę całą sardynkę? Wystarczy ją przepołowić wzdłuż i dać połowę. Efekt będzie ten sam, a obniży pan ceny."

Tak też zrobiłem. Ludzie najczęściej karmią się ułudą. Chodzi nie o treść, lecz o fasadę. Niechaj będzie i tak.

To jednak nie powstrzymało burzy. Sprawa herbaty w końcu wypłynęła. Miałem prawo, czy nie? I czemu ma służyć kantyna: najtańszemu zaopatrzeniu kolegów, czy wypompowywaniu pieniędzy na paczki dla jeńców?

W rozmowach prywatnych wypowiadałem zdanie, że cukier jest racjonowany i jest jednym z najbardziej poszukiwanych w Szwajcarii artykułów spożywczych. Jeśli więc daję cukier ze swego prywatnego zapasu, lub jeśli się drogą prywatnych stosunków wystarałem o kilogram cukru, to mogę chyba domagać się, by za przyjemność picia herbaty z cukrem zamiast sacharyny amator nadpłacał 5 rapów na rzecz jeńców.

Na to oponenci, że poprzednia kadencja miała takie same trudności w zdobyciu cukru, a jednak cen nie podnosiła.

Batalia zapowiadała się sensacyjnie. Zjawił się na zebranie sam "wódz," niemal wszyscy oficerowie, no i "mannszaft." Głos zabrał prezes i w kwiecistych, wnikliwych, powolnych jak patoka słowach przedstawił samowolę obecnych kantyniarzy. Poczem postawił wniosek: Czy wolno obsłudze kantyny podnosić ceny na herbatę i inne produkty?

Gdybyż jeszcze chodziło o samą herbatę tylko! Ale ta podstępna wstawka "i inne produkty" pogrzebała mnie. Wyczułem, że sprawa jest przegrana. Poprosiłem jednak o głos i kwieciście — jak mi się zdawało — przedstawiłem uzasadnienie podwyżki. "Jeżeli wolno podnosić cenę na produkt równie potrzebny w życiu codziennym, jak mydło, to dlaczego nie wolno podnosić ceny na herbatę, zwłaszcza że w lokalach prywatnych cena jest wyższa o 200%? Uważam, że kwestia przyjęcia lub nieprzyjęcia tej podwyżki będzie miarodajną dla oceny uspołecznienia obozu!"

Wówczas do tablicy podskoczył przedstawiciel opozycji i z kredą w palcach biało na czarnym wyliczył, że 100 g. herbaty kosztuje tyle a tyle, kilo cukru tyle a tyle. Ze 100 g. herbaty można mieć tyle a tyle szklanek tego "boskiego płynu," a zatem zarobek wynosi z górą 700%!!

Drżenie zdumienia przebiegło po zgromadzonych. Opozycja odpłynęła, triumfując. Prezes nieśmiało próbował protestować przeciwko odkrywaniu tajemnic handlowych — daremnie jednak. Głosowanie. "Kto jest za podniesieniem ceny herbaty?"

Podniosły się tylko dwie ręce.

Wybuchł huczny śmiech.

Usiłowałem nadrabiać miną. Jestem co najmniej naiwny, sądząc, że ludzie będą głosować za podwyższeniem ceny. Każdemu bliższa koszula ciała . . . Cóż, trzeba się zastosować do woli większości.

Pozostały jednak inne źródła dochodu. Tak n.p. jabłka, które własnoręcznie trzeba było otrząsać w chłopskim sadzie i w wielkim koszu dźwigać do świetlicy. Chłop sprzedał tanio, ale i tak zarobił na tym, gdyż do dziś dnia, a piszę to pod koniec listopada, reszta jabłek wisi na drzewie. Najpierw zmarzły, potem opadną, zgniją. Nie ma się ich zebraniem komu zająć. O ręce robocze tu trudno.

Wreszcie upłynęły dwa wypełnione staraniami o rozwój kantyny tygodnie i nadszedł dzień zdania jej w inne ręce, dzień generalnego obrachunku. Komisja rewizyjna sprawdziła rachunki: dochód za ubiegłe 2 tygodnie wyniósł . . . przeszło 140 fr.! Czyli 23 paczki można będzie wysłać dla jeńców!

My, obsługa kantyny, mieliśmy wielki dzień. Pobite wszelkie rekordy. Poprzednicy nasi, z których głównie rekrutowała się opozycja, słowem jej zaczyn i kręgosłup, zrobiła lekceważące, w gruncie zaś rzeczy kwaśne miny: hm, dni są teraz o wiele krótsze i wszystko się garnie do świetlicy. Poza tym, skoro się tak po paskarsku wyśrubowało ceny . . .

Lecz puściliśmy te słowa mimo uszu. Wiemy dobrze, że część spośród was zbojkotowała kantynę i nie wasza to zasługa, że dochód wyniósł aż tyle. Są bowiem dwa gatunki ludzi: tych, którzy wiele deklamują, a niewiele robią oraz innych, co płacąc 5 rapów drożej nie zapominają o tym, iż z tych 5-rapówek składają się kwoty, dzięki którym można będzie sprawić radość kolegom, nierównie więcej cierpiącym w obozach jeńców. Oni ocenią przede wszystkim intencje i serca.

*Przy wspólnym stole*



WITOLD WROŃSKI

# W Afryce Zachodniej



*Naga sprzedawczyni na stacji*



*Okrągłe chatki z gliny*

## VI.*
## SZCZĘŚLIWI NADZY POGANIE JOS

Czarny posługacz przynosi poranny "*cup of tea.*" Siedzę w wygodnym przedziale pierwszej klasy pociągu jadącego z Lagos. Jadę z kolegą i w ciągu dwóch dób zdążyliśmy omówić wszystkie interesujące nas sprawy natury prywatnej i publicznej. Jestem bardzo znudzony tą jazdą. Przez czas tej tysiąckilometrowej podróży nic tylko beznadziejny *bush* i *bush*. Szare, spalone słońcem krzewy i karłowate drzewa. Jedyna atrakcja, szczególnie w nocy to pożary. Są one efektowne, ale niegroźne. Pali się *bush* bądź sam, bądź też najczęściej ogień jest wzniecany ręką czarnego myśliwego lub rolnika. Drzewa w *bushu* są ogniotrwałe, palą się wysokie trawy i to opornie. Nikt w Afryce nie przejmuje się pożarem i nikt go nie gasi. Gaśnie sam i to dość szybko.

Wyglądam przez ciemne, chroniące przed promieniami słońca szyby wagonu i nie mogę się już od nich oderwać. Z płaskiej, szarej równiny strzela w niebo potężny masyw górski, urwisko. Jak forteca niezdobyta, czy też "Świat zaginionych." Zapytuję siebie w jaki sposób nasza skromna lokomotywa ma zamiar wdrapać się na tę prostopadłą ścianę. Jedziemy w świat nagich pogan i kopalń cyny — Płaskowzwyż Jos.

Wyżej i wyżej wspina się nasz pociąg. *Bush* znika. Trawa, pasące się bydło o długich potężnych rogach, chatki na "kurzych łapkach," złączone po pięć i więcej, ze śpiczastymi dachami z trawy, lepione na okrągło z czerwonej gliny. Pola uprawne, całe lasy kaktusów i . . . nadzy ludzie, a raczej kobiety. Zatrzymujemy się na małej stacyjce. Wśród kolorowych opończ ludzi południa i białych lub błękitnych powłóczystych szat arabskich, kroju ludzi północy, spacerują nagie poganki.

Zjawia się mój boy, który jedzie tym samym pociągiem w klasie trzeciej. Przynosi mi owoce i zabiera się do czyszczenia. Pytam go jak mu się podobają nagie dziewczyny mające za jedyny strój parę listków z przodu i śmieszny talerzyk zwisający z tyłu. Johnson pochodzi ze stolicy Lagos i mówi poprawną angielszczyzną, jest wyraźnie zażenowany. Widzę, że bardzo wstydzi się swych czarnych, nagich siostrzyc. Objaśnia mi, że to są dzicy ludzie i że szanująca się niewiasta nie powinna w ten sposób pokazywać swych wdzięków. To dobre dla młodych dziewczynek. Jest mocno zdziwiony, gdy mu mówię, że mi się bardzo te nagie dziewczęta podobają.

Krajobraz jest jakby księżycowy. Wielka płaszczyzna, od czasu do czasu szare skały. Gór nie ma, zginęły w dole. Góry są rzeczywiście w dole. Najwyższe części Płaskowzwyżu Jos to płaskie, niekończące się równiny. Jest przyjemnie chłodno, mimo, że to 11-ta w południe. Z Sahary na północy wieje w tym okresie /luty/ suchy, zimny wiatr, który tu nazywają Harmattan. Napełnia on powietrze drobnym, czerwonym pyłem pustyni.

Noce są w tym okresie bardzo zimne. Śpię po raz pierwszy w Afryce pod dwoma kocami. Po duchocie Lagos, gdzie człowiek poci się, gdy wstaje, poci się, gdy chodzi i poci się, gdy śpi — jest to niezwykle przyjemne.

Po obiedzie idę na polowanie. Będę polował na pogan z aparatem. Nie szukam drogi, czy ścieżki, po prostu idę na przełaj w kierunku wzgórz i skałek, do których przylepiły się małe chatki. Jest to miła sensacja spacerować po Afryce "na przełaj." Próby, których dokonywałem na południu kończyły się bezapelacyjnie fiaskiem w ciągu paru minut.

Co kilkaset metrów głębokie sztolnie — pionierskie studnie poszukiwaczy cyny. Jos to jeden z bogatszych terenów cynowych świata. Szczególnie ważny okręg po utracie Półwyspu Malajskiego. Wreszcie kopalnia — wykop długości blisko 2 kilometrów, szerokości 500 metrów. Praca odbywa się na odkrywkę. Metody pracy — najnowsze, dragi amerykańskie połykające jednym zanurzeniem potwornej łapy tonny cynonośnej glinki, a obok nich tysiąc lub więcej, czarnych, nagich pogan z koszami pełnymi ziemi na głowach.

Dziwne wrażenie robi ten nieprzerwany wąż nagich ludzi. Tak zapewnie wyglądali niewolnicy przy budowie piramid. Oglądam się za poganiaczem niewolników z nieodzownym batem. Jakoś go nie widać. Przy kilku stolikach siedzą urzędnicy kopalni i przygotowują pieniądze na wypłatę. Nadzy ludzie po odpracowaniu swych godzin dostaną 2 sh. i wrócą do swych lepianek.

Docieram wreszcie do wzgórz. Idę ścieżką między dwiema ścianami kaktusów. Jest to prawdziwy labirynt. Błądzę dobre 15 minut i wreszcie dróżka wyprowadza mnie w ślepy zaułek. Za ścianą kaktusów widzę zagrodę pogan, ale jak się tam dostać? Przyglądam się bliżej ścianie kaktusów i widzę, że są w niej drzwi. Drzwi to rosochaty kaktus, który zasłania wąską szczelinę, ale nie jest wrośnięty w ziemię. Usuwam te dziwne drzwi. Jestem niezręczny. Kłuję się w palec i łamię odnóżkę, z której wypływa białe mleczko — podobno trujące.

Nareszcie jestem za ogrodzeniem. Zagroda jest jak wymarła. Słyszę jakiś podejrzany szelest, oglądam się — jest nareszcie prawdziwa naga poganka. Jest przerażona i trzyma kurczowo najwyżej trzymiesięczne dziecko przy piersi. Dzieciak się nie przejmuje, ma zamknięte oczki i ssie zawzięcie pierś matki.

Przypuszczam, że, Adam czuł się podobnie jak ja, gdy zobaczył Ewę. Ponieważ ja znam historię, której on biedak nie znał, postanawiam być raczej wężem, niż Adamem. Stosuję metodę wężową połączoną z udoskonaleniami, które wprowadzili z tak znakomitym rezultatem koledzy szkoccy już w ciągu pierwszych godzin pobytu po ewakuacji z Francji. Pamiętam jak szofer z mojej kolumny oświadczył mi po trzech dniach pobytu gdzieś pod Glasgow, że ma się zamiar żenić w tym tygodniu. Gdy go zapytałem, jak się porozumiał ze swą przyszłą, odpowiedział, że to zupełnie proste. Nie przypuszczam, żebym był tak utalentowany, ale uwodzę moją pogankę, która daje mi się fotografować ze wszystkich możliwych stron.

Jest naprawdę sympatyczna. Myślę, że oczekiwała jakiegoś gościa na "*tea party,*" bo jest uszminkowana. Coprawda jej "*make up*" jest nieco odmienny, niż u naszych pań, tym nie mniej zapewne jest równie pociągający dla panów pogan. Krótkie kędzierzawe włosy nagiej kobiety są przepojone czerwoną, tłustą glinką. Skóra jej wydaje się dobrze wymyta i ma kolor złotawy. Z przodu na sznurku, który okala jej biodra, ma starannie ułożone trzy małe listki . . . Z tyłu śmieszny wachlarzyk z trawy. Prawdopodobnie z powodu ograniczenia produkcji pończoch jedwabnych, nogi jej do kolan są ślicznie umalowane na czerwono.

Poganka oprowadza mnie po swym "pięciopokojowym" mieszkaniu. Pięć zlepionych chałupek glinianych, w środku miniaturowe podwóreczko. Salon niczym się nie różni od sypialni. Na podłogach kilka mat splecionych z trawy, ani stołka, ani stołu nie widać. Trochę glinianych naczyń. Amfory do przenoszenia wody i to wszystko. Ani śladu jakiegokolwiek przykrycia, czy ubrania. Jak ci poganie mogą wytrzymać w sezonie deszczów i Harmattanu nie rozumiem.

Były zakusy ze strony misjonarzy, którzy zdecydowanie nie lubią nagości, by ubrać tych pogan. Jednakże światła administracja i lekarze zaprotestowali. Ubrani poganie przeziębiali się i był cały szereg wypadków śmierci z powodu zapalenia płuc i gruźlicy. Zostawiono więc tych nudystów w spokoju i chodzą tak samo "ubrani," jak w epoce kamiennej.

Więzy plemienne są wśród pogan niezwykle silne. Małżeństwa są zawierane tylko wewnątrz plemienia, to też choroby weneryczne, ta plaga całej Afryki, są tu bardzo rzadkie.

Poganie niczego nie potrzebują od otaczającego ich świata. Jedyna rzecz, którą kupują to sól.

Żegnam moją Ewę i daję jej szylinga. Nie chce go przyjąć. Mimo, że jestem całkowicie przekonany o mym osobistym wdzięku, rozumiem, że to nie dla tego spotkała mnie pierwsza odmowa przyjęcia "*dash*" /żargon murzyński-napiwek/ od czasu jak jestem w Afryce. Po prostu pieniądze nie interesują!

Znów błądzę po labiryncie kaktusów i zupełnie niespodzianie znajduję się na podwórcu, gdzie widocznie kilka rodzin pobudowało swe lepianki. Mimo, że ja nie widziałem nikogo, musiałem być obserwowany przez pogan. Ojciec rodziny z groźną miną i potężną maczugą w ręce czeka na mnie. Obok niego wspaniale zbudowana naga pani domu. Widzę, że trzeba być ostrożnym, więc kiwam na pozdrowienie ręką i wskazuję na aparat. Pogański Otello zrozumiał, że moje zamiary są pokojowe i niezaborcze i uśmiech rozjaśnia jego twarz.

Zbiera się cała rodzina. Mały 5-letni bobas z dumą obnosi swego mniejszego braciszka na plecach. Dziecko jest zawinięte w skórę antylopy i przywiązane na plecach według wszelkich prawideł sztuki noszenia dzieci przez murzynki. Malec podbiega do mnie. Słyszę głos dzwonków. To praktyczni poganie przywiązują dwa małe dzwoneczki między nogami swych dzieci, by nie zgubiły się w labiryncie kaktusowym.

Nadchodzi dziadek, pomarszczony staruszek, który z dumą i bez zażenowania obnosi swą męskość w pięknie plecionym z trawy pokrowcu. Babka siedzi na kamieniu i zapala fajkę. Z podziwem patrzę jak wyjmuje z małego skórzanego woreczka krzemień i kawałek stali, przykłada kawałek bawełny następnie zgrabnie trzaska palcami i bawełna poczyna się tlić. Kładzie potem bawełnę w swą fajkę i zaciąga się z przyjemnością.

Jestem zachwycony tą pogańską rodziną. Niestety cała nasza rozmowa odbywa się na migi. Chciałbym zrobić komplement młodej mamie, ale nie wiem jak w jej języku nazywają się "piękne nogi," a wobec obecności Otella trudno mi to wyjaśnić na migi.

Mam szczęście. W drodze powrotnej spotykam wspaniałego myśliwca z łukiem i zatrutymi strzałami. Patrzę na niego z podziwem — to prawdziwie wolny i niezależny człowiek. Ze swym woreczkiem ryżu na głowie, ubrany w skóry antylopy potrafi on spędzić i miesiąc, idąc za śladami zwierzyny, w którą ten kraj obfituje. Od płaskowzgórza Jos do jeziora Czad to kraj najwspanialszej zwierzyny Afryki. Mój myśliwiec nie zabija jej dla sportu. Zwierzyna to jego istnienie.

Wracam z żalem do cywilizacji i myślę, żeśmy sobie mocno skomplikowali życie od czasu epoki kamiennej.

*HENRYK GIEŁDZIŃSKI*

* Por. nr. 12, 13, 14, 15, 16-17 "Polski Walczącej" z b.r.



*Pierwsza czarna znajomość*



*Myśliwiec z łukiem*



*Czarna babunia i wnukowie*

# Bez black-outu

*Kochana Redakcjo,*

*Piszę ten list ze Szkocji. Jest początek kwietnia.* Zaobserwowałem, że w ostatnich czasach temperatura w Szkocji podniosła się w sposób szczególny. Po prostu mimo wczesnej wiosny było bardzo gorąco — gdzie niegdzie kipiało, wrzało . . . Nie trzeba tego taić. I należy o tym pisać. Po prostu dla dobra sprawy, dla odprężenia i rozładowania reakcji, które były i muszą być zawsze zrozumiane, jeżeli ich podkładem jest może głęboko ukryta, może rzadko "na co dzień" objawiana — miłość Ojczyzny.*

*Gdybym w dzisiejszej korespondencji ze Szkocji napisał, że jedynym tematem obecnych rozmów żołnierskich jest spór pomiędzy generałem Giraud i generałem De Gaulle, i tak nikt by mi nie uwierzył. Nawet cenzor. Więc po co siebie i Was, Kochana Redakcjo, wprowadzać w błąd? Im szczerzej, tym lepiej, tym łatwiej oddychać przy tak podwyższonej temperaturze. O taki oddech w czwartym roku wojny nerwów należy się pilnie starać.*

*Oczywiście pomijam wszelkie — zresztą rzadkie i odosobnione — objawy warcholstwa i wyraźnego łamania subordynacji. W takim momencie politycznym spotkać się one muszą z wyraźnym potępieniem każdego uczciwie myślącego Polaka. Biorę więc tylko pod uwagę odruchy indywidualne czy zbiorowe, w których, wydaje mi się, że słusznie dopatruję się, wielkiej siły moralnej naszego żołnierza, w których widzę dojrzałość polityczną i uczciwość obywatelską. Nie wiem jak te objawy oceniono z punktu widzenia służby, ale myślę, że gdybym był generałem czy ministrem, bardzo bym się uradował takim powszechnym, nie nakazanym, nieagitowanym objawem ukochania rodzinnego Kraju. Byłbym szczerze wzruszony. Zadziwiające było jak wszystkie tematy do tej pory codzienne poszły w kąt, jak znikły małe spory, jak nieważne okazały się drobne intrygi. Ludzie nie zaniedbując służb i obowiązków zbierali się razem, by omówić sytuację.*

*Jakiś wielki służbista krzyknie w tym miejscu gromkim głosem: "Polityka w wojsku"! Otóż nie. Bo właściwie oni nie politykowali, tylko mówili o losach własnej Ojczyzny, wczuwając się dobrze w kłopoty odpowiedzialnych władz. Warto było widzieć, jak ludzie zasięgali rady najmądrzejszych wśród nich, by sklecić najlepszy, najbardziej udokumentowany, w najlepszej angielszczyźnie zredagowany list do "editora" jakiegoś pisma brytyjskiego, które, według zgodnej opinii żołnierskiej, pokrzywdziło sprawę polską. Warto było posłuchać jak grupki ludzi dobrej woli głowiły się nad formą najbardziej "służbową" zaanimowania wpływowych znajomych Szkotów i zmobilizowania ich do obrony słusznej sprawy. Żołnierz szedł w tym momencie w pełni uświadomiony politycznie, choć czuł swoją chwilową bezradność, choć targały nim sprzeczne uczucia . . .*

*Ta solidarna postawa żołnierska w chwili niebezpieczeństwa grożącego całości ziem polskich przypominała wiele z nastroju pierwszych dni września 1939, gdy zwartość społeczeństwa przeszła wszelkie oczekiwania i zakasowała papierowe hasła, wykazując coś więcej, niż gotowość. Mówiono mi ostatnio w Szkocji o wypadkach "szaleńczych" niemal pomysłów żołnierskich. Szły one aż do projektów umieszczenia na wozach ciężarowych — megafonów z instalacjami z obsługą polską najlepiej władającą po angielsku, która objeżdżałaby w tempie błyskawicznym miasta i miateczka szkockie, informując społeczeństwo o PRAWDZIE.*

*Może to się wyda naiwne, ale nie wolno tego nie uszanować. Słusznie powie ktoś, że to do żołnierza nie należy; jasne jest, że do takich "objazdów" propagandowych dojść nie mogło, ale przecież docenić trzeba sam odruch, docenić trzeba uczucie, które biło w tych dniach płomieniem z żołnierskich serc.*

*Dalekie to było od kiepskiego politykierstwa, czy opozycyjnych gierek. To było coś innego. Inny prąd w rwącej rzece wypadków. Świeży, wartki nurt wśród mętnych czasem wirów . . . Taki prąd można łatwo przetworzyć na pełnowartościową energię. W żadnym wypadku nie należało by na gwałt budować tamy. Prąd mógł by pójść wtedy spodem, mógł by wpaść w skryte, kręte łożysko.*

*Chodziła gadka wśród żołnierzy w Szkocji, która zresztą, jak stwierdziłem, nie była oparta na rzeczywistych faktach, że wyszło jakieś "polecenie nierozmawiania" na te tematy w wojsku. Nie było takiego "polecenia."*

*Natomiast jeżeli przypadkowo, omyłkowo ktoś gdzieś na własną rękę zaczął budowę tamy przeciw zdrowemu prądowi, który powinien iść wierzchem świeży, gorący, niezmącony, niechże takiemu "inżynierowi" dobry, rozumny dowódca wyda kartkę do magazynu amunicji, uprawniającą do pobrania dowolnej ilości materiałów wybuchowych, potrzebnych do wysadzenia zapory.*

*Upadły więc w tych dniach wszelkie nasze niesłuszne posądzenia, nie sprawdziły się krakania pesymistów. Żołnierz polski, mimo straszliwie trudnej pozycji: "Spocznij," która tak długo trwa — jest zdrów moralnie, czuje i myśli. I kocha Polskę.*

*Że czuje, dał dowód w opublikowanych niedawno sensacyjnych niemal wynikach zbiórek na cele społeczne. Cyfry ofiarności żołnierskiej znane i rozpowszechnione obejmują n.p. między innymi ofiary na pomoc dla Polaków w Rosji, co w roku 1942 dało funtów: 30.260. Na rzecz jeńców polskich w Niemczech w r. 1941 żołnierze polscy złożyli: 16.632 funty, a w roku 1942 funtów 22.492. Rzeczywiście serce rośnie, gdy się przegląda ten komunikat Ministerstwa Obrony Narodowej. Więc żołnierz czuje i jest ofiarny.*

*Że żołnierz myśli i kocha Polskę dowody — może bardzo jaskrawe, może czasem nieopanowane — mieliśmy w ostatnich gorących czasach w Szkocji i napewno w Anglii. W tym właśnie okresie dziwnym zbiegiem okoliczności wpadła mi do ręki malutka książeczka, wydana przez Polską Misję Katolicką w Londynie: "O miłości Ojczyzny" — kazanie ks. arcybiskupa Teodorowicza. Jak bardzo mądry, jak bardzo żywy był pomysł przypomnienia nam tu w Wielkiej Brytanii słów tego naprawdę złotoustego kaznodziei lwowskiego.*

*Pamiętam wiele sylwestrowych wieczorów, które we Lwowie tradycyjnie zaczynało się w katedrze Ormiańskiej o 6-ej wieczorem wysłuchaniem zawsze bezcennego, zawsze natchnionego kazania arcybiskupa Teodorowicza. We Lwowie "chodziło się" słuchać tego Arcypasterza. Kazania te były do ostatnich chwil życia Teodorowicza przeżyciem dla Lwowian. Tłumy ściągały do niezwykle pięknej, stylowej, wypieszczonej przez Rosena katedry ormiańskiej. Dla Ormian czasem brakowało miejsca, bo ciągnęli tłumnie rzymsko- i greko-katolicy.*

*Nie spodziewałem się, że właśnie w takiej chwili, z daleka od Lwowa, w takiej chwili, gdy byliśmy wszyscy sercem w naszym mieście, przemówi raz jeszcze Arcypasterz:*

". . . Zdrowa miłość Ojczyzny wynosi duszę w jej wewnętrznej wolności, w jej umiłowaniu dobra i sprawiedliwości, w jej prawach rozwoju — ponad wszystko.

". . . Ból nad złem, które się panoszy w Ojczyźnie, jest jednym z najpiękniejszych wyrazów jej miłości, bo najczystszym i najgłębszym . . ."

". . . Ten, który boleje i cierpi nad złem w narodzie, któremu złość w Ojczyźnie łzy gorzkie wyciska, ten ponad wszystko szuka w Ojczyźnie swojej Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości . . ."

*Czytam te słowa i widzę na ambonie dostojną, ascetyczną postać Arcybiskupa, słyszę Jego dramatyczny, głęboki głos:*

". . . Ojczyzna w swych dziejach, życiu i przeżyciu nie tylko staje przed tobą, ale żyje w tobie. W tobie to, w sercu twoim żyją te dawne pokolenia ich cnoty i porywy, w tobie żyją bogactwa narodowej kultury, języka, sztuki, tobie mówią żywi i zmarli: W sercu twym schroniska szukamy. Ty zaś im odpowiadasz: Wyście moi a jam wasz.

I dlatego to wszystko, co dotyka Ojczyznę tak żywo cię obchodzi i porusza jak gdyby to dotykało ciebie samego a nawet więcej . . ."

". . . Ona nam mówi o ciężkich swoich wstrząśnieniach i przejściach, lecz razem wskazuje na drogi świetliste, przez które wyszła z otchłani ciemności i z morza bólów i cierpień. Gdy bezradni jesteśmy, gdy przywaleni i uciśnieni, wtedy Jej przeżycia i doświadczenia stają się nam drogowskazem, umocnieniem i ukrzepieniem."

*Słucham tego głosu i czerpię z niego, czerpię spokój, zdrową myśl:*

". . . Miłość narodowej cnoty, a nienawiść narodowych wad stanie się nam wałem ochronnym przed kwasem złym zaczyniającym nas, bo nie będziemy wtedy pobłażliwi dla wad narodowych, tak w nas, jak w innych. Nie przezwiemy wówczas ciemności światłem, a skażenia nie nazwiemy cnotą. Osądzać będziemy siebie samych ostro i surowo i baczyć będziemy, by nie zawrócić w te błędy, w któreśmy ongi tak łacno popadli . . .

Nakreślmy śmiało i szeroko programy: jak wytępić i wypleniać stare nałogi i błędy, a jak znowu szczepić ideały i cnoty. Do takiego programu nas wzywa, taki program nam narzuca miłość narodowej duszy i umiłowanie w niej sprawiedliwości."

*Jak dawno padły te mądre słowa, jak dawno? Jak trudno o urzeczywistnienie tego wielkiego, dziejowego programu? Czytam dalej i wraca moja myśl w tych trudnych dniach do zupełnej równowagi, czuję jak kojąco niemal działają na mnie te słowa wielkiego znawcy duszy ludzkiej:*

". . . Kiedyśmy się rozglądali w tradycji narodu, wydobywaliśmy ze skarbca jej wielkie chwile i wielkie narodowe przeżycia i widzieliśmy jak to one są czy wyrzutem dla naszego sumienia, czy ostrogą dla pracy, czy zachętą, czy ośmieleniem. Im bogatsze jest przeżycie przeszłości i im szczytniejsze, tym bardziej przetwarza ono nas i nasze serca."

*Cieszyłby się arcybiskup Teodorowicz, gdyby spojrzał głęboko w oczy w tych dniach żołnierzowi polskiemu. Stwierdziłby, że słowa jego kazania żyją. Tak jest, to przeżycie ostatnie przetworzyło nas i nasze serca. To przeżycie jest ostrogą dla pracy. Jest ośmieleniem.*

*Na każdej stronie tego niezapomnianego kazania, które właściwie nie jest kazaniem tylko rozmową, głęboko patriotyczną, mądrą rozmową, znajdzie z łatwością każdy żołnierz polski potrzebne mu na dzisiaj słowa. Słowa pełne. Słowa prawdy i pociechy. Dlatego tym większa wdzięczność należy się Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, że dała nam tę szarą, skromną książeczkę o miłości Ojczyzny. Nie wiem, czy żołnierze ją czytali, nie wiem, czy znajduje się w świetlicach, ale powinna tam być jak najprędzej.*

*Kochana Redakcjo, myślę, że wolno mi w tym miejscu serdecznie Wam powinszować zaplanowania akcji i przebiegu zbiórki książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie. Inicjatorowi koledze Żurowskiemu należą się słowa szczerego uznania. Docenia tę inicjatywę każdy, kto kocha książkę polską, nadeśle Wam książkę każdy, kto choć raz w życiu za nią tęsknił.*

*Myślę, że najlepiej przyczynię się do tej zbiórki, jeżeli składając na ten cel 1½ funta poproszę Kochaną Redakcję o zakupienie w Londynie za tę sumę egzemplarzy kazania ks. arcybiskupa Teodorowicza: "O miłości Ojczyzny."**

*WIKTOR BUDZYŃSKI*

*Felieton niniejszy, napisany z początkiem kwietnia drukujemy z opóźnieniem, spowodowanym dwutygodniową przerwą świąteczną. Chociaż pozostaje on w związku z wydarzeniami, które przesłoniły w ostatnich dwu tygodniach inne wydarzenia — ogłaszamy go w przekonaniu, iż odpowiada on także nastrojom obecnej chwili. /przyp. red./

* Arcybiskup Teodorowicz: O miłości Ojczyzny /Cena 9d./ Polska Misja Katolicka w Londynie, 2, Devonia Road, N.1.

# Skrzynka pocztowa

## JESZCZE W SPRAWIE POLSKIEGO PRZEKŁADU MÓW CHURCHILLA I O CHURCHILLU, JAKO MÓWCY

Inicjatywa p. Adama Ordęgi wysunięta na tym miejscu w 14-ym nr. "Polski Walczącej" z b.r., aby wydać polski przekład wyboru mów Churchilla — zasługuje na jak najżywsze uznanie, a wyrazem tego powinno być jak najrychlejsze wprowadzenie jej w życie, zwłaszcza, że wiele z tych mów odnosi się bezpośrednio lub pośrednio do Polski, a wiele ma wartość nieprzemijającą, a przynajmniej długotrwałą.

W Stowarzyszeniu Prawników poruszaliśmy już tę myśl w tej formie, że przekład wyboru mów Churchilla miał być dokonany przez większą ilość osób, aby był wyrazem zbiorowego uznania z naszej strony dla tego wybitnego męża stanu.

Było by bardzo pożądanym, aby myśl p. Ordęgi wprowadziło w życie Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, albo Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Natomiast z uwagami Dra Wita Rzepeckiego, wypowiedzianymi w tym samym numerze zgodzić się nie mógłbym. Nie chodzi mi tu o żadną polemikę, lecz raczej o wzajemne zrozumienie naszych myśli i wyjaśnienie sobie nieporozumień.

Nie to stworzyło Churchilla mówcą, że przez usilną pracę poprawił sobie wymowę. Są ludzie, którzy mówią pięknym głosem i są tylko gadułami. Są natomiast mówcy nawet z błędem w wymowie, jak ś.p. mec. Kowalski, który wywierał swoimi przemówieniami wielki wpływ na masy słuchaczów. Albowiem mowa jest tylko narzędziem mówcy; ona jeszcze mówcy nie tworzy, tak jak nie tworzą skrzypce — muzyka. A znowu nawet t.zw. cudowne dziecko nie zagra bez fortepianu. Są to warunki konieczne dla artysty dźwięków, ale do tego jeszcze trzeba jednej rzeczy — talentu. Aby być mówcą nie dość jest mówić — trzeba mówić z talentem. A talent to dar, z którym człowiek się rodzi.

*Stanisław Szurlej*

## O POLSKI REPORTAŻ WOJENNY

Omawiając wielkie manewry wiosenne armii brytyjskiej p. Dominik Szczerbic wyraził na łamach "Polski Walczącej" /nr. 13/ ubolewanie z powodu tego, że nie byli na nich obecni polscy reporterzy wojenni, którzyby opisali te manewry i zanalizowali płynące z nich wnioski.

Słuszna, nader słuszna uwaga. I skoro ta sprawa została poruszona, może byłoby warto szerzej się nad nią zastanowić. Bo przecież nie chodzi tylko o obecność lub nieobecność polskich reporterów wojennych na manewrach brytyjskich. To jest tylko mały wycinek. Chodzi o bardziej zasadnicze zagadnienie, które woła o praktyczne rozwiązanie.

Zagadnienie sprowadza się do tego: czy istnieje polski reportaż wojenny? Czy są polscy pisarze którzy by bezpośrednio obserwowali działania wojenne — przede wszystkim te, w których Polacy biorą udział, ale również inne i opowiadali o nich?

Trudno jest odpowiedzieć: "tak" na te pytania. Przy najlepszej woli jest to niemożliwe. Niemal wszystko co się ukazuje w prasie polskiej na tematy wojenne, nosi charakter przypadkowy. O ile w jakimś działaniu wziął udział ktoś kto umie pisać i kto odczuwa potrzebę pisania, wówczas pozostały ślady literackie tych działań. Tak było z Narwikiem, czy — w mniejszym stopniu — z Tobrukiem.

Ale jednocześnie ile tematów niewykorzystanych, ile historii nieopowiedzianych! Jaką kopalnią tematów jest lotnictwo i marynarka — gdyby tylko z jednej strony dopuszczono ludzi pióra do ich "tajemnic" a z drugiej — znaleźli się odpowiedni ludzie do wykorzystania tego materiału!

Reportaż wojenny poczynił ogromne postępy w ostatnich czasach. Przełamał wiele oporów i wiele uprzedzeń i wywalczył sobie prawo do życia. Reporterzy brytyjscy i amerykańscy byli w bombowcach nad Berlinem czy Neapolem. W wypadzie komandosów na Dieppe wzięła udział cała gromada dziennikarzy. Przy brytyjskiej "Navy" jest cały sztab sprawozdawców, którzy są zabierani na większe operacje. Na każdym odcinku frontu pełno jest sprawozdawców.

Literatura reportażowo-wojenna we wszystkich krajach wojujących jest ogromna. Wiemy ile książek o kampanii wrześniowej ukazało się w Niemczech. Tu, w Wielkiej Brytanii wystarczy rzucić okiem na witryny księgarni, aby stwierdzić, jakie masy książek ukazują się co miesiąc na tematy wojenne. O takim Dieppe — ostatecznie tylko epizodzie — są już dwie książki. O przemianach wojny literatura jest przeogromna.

Jakże ubogo na tym tle wygląda dorobek polskiej publicystyki, literatury, dziennikarstwa, czy piśmiennictwa wojskowego! Którykolwiek odcinek weźmiemy — pozycje policzyć można na palcach. W dziedzinie przemian wojny — jedna czy dwie przetłomaczone broszury. W dziedzinie reportażu — prawie nic. Nie mieliśmy do tej pory Korespondentów Wojennych w ścisłym tego słowa znaczeniu, t.j. korespondentów którzy by w tym charakterze brali udział w operacjach. Dopiero później na podstawie relacji uczestników walk, literaci czy dziennikarze odtwarzali niektóre epizody.

Jeżeli rzucimy okiem na półki księgarskie, to obok bardzo nielicznych książek takich jak "Dywizjon 303" Fiedlera, czy "Wrzesień 1939" Łagniewskiego, znajdziemy powieścidła, niewiadomo po co wydane na nowo i ogromne ilości wszelakich polemik. Wniosek z tego, że nie brak papieru jest przeszkodą.



Nie jest bodaj jeszcze zapóźno, by zmienić ten stan rzeczy, ale dużo czasu nie ma. Nie możemy poprzestać na skromnym dorobku dotychczasowym.

*Aleksander Boray*

## AFRYKAŃSKIE ECHO

Kiedyś, dawno już, bo w lecie 1942 r., napisałem na zaproszenie Redaktora "Polski Walczącej," kilka słów z racji święta artylerii przeciwlotniczej. Wspomnienia te zatytułowane "Serce i rozum" ukazały się w nrze 36 "Polski Walczącej." I zdawało mi się, że koniec, że już "po wszystkim." A tymczasem wcale nie. Bo oto niedawno otrzymałem najmilsze echo, jakie istnieć może dla każdego autora. Echo serca Czytelnika. Za pośrednictwem Redakcji "Polski Walczącej" przyszedł bowiem do mnie list z daleka. Z Brytyjskiej Afryki Zachodniej . . .

Pisze do mnie stary przeciwlotnik /stary służbą, nie wiekiem — bo wiekiem to, bodajże nawet, młodszy ode mnie!/, kapitan /a obecnie major brytyjski/ Mieczysław B. Pisze tak: "czytając "Serce i rozum" tutaj na ziemi afrykańskiej, aż mnie nosiło." Cieszę się, że mój skromny artykuł przypominał staremu przeciwlotnikowi, dzisiaj dowodzącemu baterią lekkich dział w . . . pułku art. plotn. *West African Forces*, poligony pod Brześciem, wycieczki do Białowieży, wypady sobotnie do Brześcia, młodość wesołą, beztroską, szczęśliwą poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Mój miły korespondent ma do mnie jednak jeden żal: "czemu Pan nie wspominał o tych, co zgubili serce i poszli w świat szukać dział przeciwlotniczych, za którymi się tak stęsknili w okresie od Rumunii począwszy a na Szkocji skończywszy."

Otóż przede wszystkim za przeproszeniem — głupstwa Kapitan wypisujesz, myśląc, że myśmy zapomnieli o Was, którzyście poszli w daleki świat. Jak w ogóle można coś podobnego myśleć! Wiemy, że nie ma dziś zakątka na kuli ziemskiej, nie ma formy, w której nie można by Polsce i Sprawie służyć. A kto służy lepiej, nie wiadomo — ocena nie do nas należy. To rzecz historii. A tak, jak niezmiernie wielką usługę sprawie Sprzymierzonych oddali polscy piloci co ponad tysiąc samolotów przetransportowali poprzez Czarny Ląd i dostarczyli VIII-ej Armii w Egipcie, tak samo Wy, którzy szkolicie tysiące rekruta murzyńskiego i dostarczacie nowych jednostek kolonialnej armii brytyjskiej — napewno nie zostaniecie zapomniani. A dziś jesteście stale w naszych sercach.

I gdziekolwiek nas los rzucił w czasie tej straszliwej zawieruchy dziejowej, jakiekolwiek mundury, czy odznaki, nosimy — to napewno nie gra żadnej roli! Dopóki w sercach naszych króluje wyłącznie Polska, dopóki Jej tylko jesteśmy najściślej wierni — to wszystko w porządku. I pamiętaj — Kochany Kapitanie — jedynie to jest ważne. Reszta to tylko taki lub inny figiel losu. Dla jednego bardziej łaskawy, dla drugiego mniej.

Piszesz dalej, Kochany Kapitanie, "znalazłem tutaj kilka skrzynek z częściami zapasowymi pochodzenia polskiego. Omal, że nie ryknąłem płaczem, jak przeczytałem na kwadrancie napis "Polskie Zakłady Optyczne" i "Warszawa." Rozumiem świetnie Twoje uczucia i całkowicie je podzielam. Co za ironia losu dla oficera polskiej artylerii przeciwlotniczej, oficera broni tak wyśmiewanej w kraju i traktowanej w wojsku jako kopciuszek, jako wymysł kosztowny a bezużyteczny, znaleźć sprzęt przeciwlotniczy polskiego wyrobu w . . . Afryce Zachodniej.

Dziękuję za pamięć i pozdrowienia dla Kolegów-przeciwlotników i dla mnie, przesłane za pośrednictwem Redakcji "Polski Walczącej" i tą samą drogą przesyłam Tobie, kochany Kapitanie /a raczej Majorze!/ i wszystkim znajomym Oficerom przebywającym obecnie w Zachodniej Afryce, z dawnym naszym dowódcą z art. plotn. pułk. dypl. W.L. na czele, nasze najlepsze myśli i najserdeczniejsze życzenia. Niech Bóg ma Was w Swojej opiece i pozwoli, byśmy się mogli jak najprędzej już wszyscy spotkać w wolnej Polsce, byśmy znowu jeździli — oby już niebawem! — na poligon przeciwlotniczy do Brześcia nad Bugiem.

*Stefan Żurowski*

MARYNARKA WOJENNA — POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £225.0.0 /dwieście dwadzieścia pięć/ na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Dear Sir,

On the occasion of Polish National Day in the Tayport Group of the Scottish Polish Society I have pleasure in sending the enclosed contribution of £2.2.0 to your fund for the relief of distressed Poles in Russia.

Yours faithfully,
*Vera E. Watt*

* * *

Dear Sir,

Will you find enclosed £11.17.3, which has been collected during our performance of "Polish Panorama" in Forfar for Polish Children in Russia.

We are taking the opportunity to ask you to convey our most cordial thanks to all citizens of Forfar, whom Polish soldiers owe already the greatest gratitude, for their magnificent contribution.

We have especially to thank the President of the Scottish-Polish Society, Sheriff Mackinnon, and Mr. James Barber, Hon. Secretary, for their valuable help.

Sincerely yours,
*Polish Forces Theatre "Lwowska Fala"*

* * *

Kochanemu Koledze Stasiowi Wasiuczyńskiemu składamy z okazji imienin najserdeczniejsze życzenia przekazując zamiast upominku 30sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

*Koleżanki i koledzy z "Lwowskiej Fali"*

# Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,648

Zamiast podziękowania płk. R. za jego pracę i życzliwość — pozwalam sobie przesłać kwotę sh. 5. — na dzieci polskie na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem *Z. Nagórski*

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £20 sh.10 d.5 /dwadzieścia £, dziesięć sh., pięć d./ zebrane w I i II dekadzie kwietnia br. z dobrowolnych składek żołnierzy Pułku Przeciwpancernego z przeznaczeniem na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

*J.L. rtm.*
*II Z-ca D-cy pułku*

* * *

Przesyłam w liście banknot 10 szyl. *Atanowski Franciszek*

Przy niniejszym załączamy £1.0.0 /jeden funt/ na pomoc dla Polaków w Rosji zamiast życzeń świątecznych dla przyjaciół i znajomych.

*Jan i Halina Stegemanowie*

* * *

Załączam Postal Order na sh.10 zamiast honorarium za poradę w Przychodni Lekarskiej w Londynie i uprzejmie proszę o przekazanie tej sumy na fundusz dla dzieci polskich na obczyźnie

Z poważaniem
*J. Nowińska*

* * *

Szanowna Redakcjo!

Na ręce Szan. Redakcji przesyłam £3 /słownie trzy funty/ z prośbą o przekazanie ich: 20 szylingów na Pomoc Polakom w Rosji, 20 szylingów na Fundusz Walki Czynnej z Najeźdźcą, 10 szylingów na pomoc Jeńcom Polskim w Niemczech oraz 10 szylingów na rzecz pomocy naukowych naszym Junakom na Śr. Wschodzie.

Łącząc wyrazy szacunku, kończę
*J.G.*

* * *

W załączeniu przesyłam £0.10.0 /słownie dziesięć szylingów/, złożoną przez strzelca "X" z Sam. Oddziału Spadochr. na pomoc Polakom w Rosji.

M.p. dnia 19.IV.1943 r.
*ks. F.M. Kapelan*

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £264.14.8 /słownie: dwieście sześćdziesiąt cztery funty, czternaście szylingów i osiem pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,648.6.1½ /słownie: osiem tysięcy sześćset czterdzieści osiem funtów, sześć szylingów i półtora pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

NA FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹĄ

20 szylingów. *J.G.*

* * *

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

10 szylingów. *J.G.*

* * *

Zamiast kwiatów na daleką mogiłę ś.p. Franciszka Planety maj. art. plot. składam £5.0.0 /pięć/ na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech.

*Maria Przybytkowa*

* * *

Przy niniejszym załączam money order na sumę £10.0.0 /dziesięć/ jako dochód z polskiej zabawy żołnierskiej z przeznaczeniem na jeńców naszych w niewoli niemieckiej.

Z poważaniem
*Świetliczarka Krukowska*

* * *

DLA JUNAKÓW

Na rzecz pomocy naukowych Junakom na Śr. Wschodzie 10 szyl.
*J.G.*

# Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam paczkę książek, zebranych wśród kolegów, z prośbą o przesłanie ich żołnierzom polskim na Wschodzie.

Załączam wyrazy szacunku
*F. Kwiatkowski*

Załączone:

Tomasz a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa. K. Ujejski: Skargi Jeremiego /2 egz./. E. Ligocki: Złota chorągiew /2 egz./. Od Zagłoby do Wiecha. Dłużewski: Droga do Polski. Chrześcijański ustrój społeczny. Dynowska: Polska w zwyczaju i obyczaju. A. Błoński: Wracamy nad Odrę. A. Mickiewicz: Księgi narodu polskiego. C. Jeśman: Klejnot srebrzystych mórz. J. Pomian: Rzeczpospolita. Kalendarz Kuriera Polskiego na rok 1942. Myśl lotnicza zesz. 11.

* * *

Pan Redaktor "Polski Walczącej,"

Proszę Pana Redaktora o przekazanie załączonych książek do któregoś obozu względnie ośrodka polskiego na Bliskim Wschodzie.

Pozostaję z głębokim szacunkiem
*mjr. Z.G.*

Załączone:

Ogniem i Mieczem, tom I — IV, Historia Polski, tom I i II, Śpiewnik Polski, Myśl Lotnicza, Nr. 5. 1941, Bellona, paźdz. 1941, styczeń 1942, Walki w obronie granic, Wrześniowym Szlakiem, Północne podróże Podhalańskie, Pomniki literatury Ojczystej, 2 egz.

Niniejszym załączamy następujące książki dla Kolegów na Bliskim Wschodzie — Adolf Wielki — M. Hemar, Dywizjon 303 — A. Fiedler, 3. egz. "Nowa Polska" /styczeń, luty, marzec/.

*... szwadron, ... Pułk Panc.*
*pancerni ... plutonu.*

Załączone: Starzak: O formę i treść przyszłej Polski. My Name is Million. Jednodniówka VI. Kursu Podchor. Sanit. Rez. Bielski: Głos z Kraju. Jak to na wojence ładnie. Ordon: Łuna nad Warszawą. Półkozic: Zadanie polskiego młodego pokolenia. Wojskowy słownik polsko-angielski. Kalendarz Polskiego Czerwonego Krzyża. Daily Telegraph War Map Nr. 5. *L.R.*

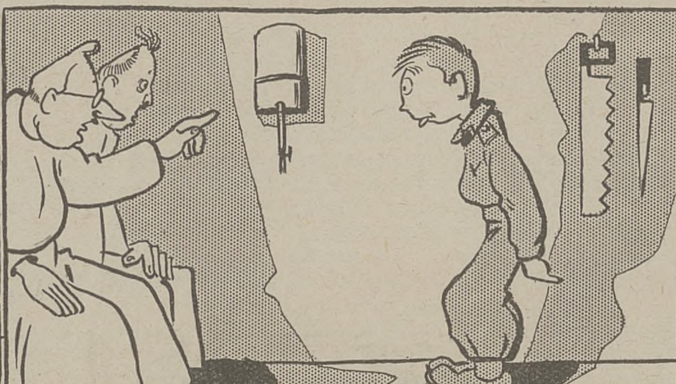
*Tekst: RYSZARD POBÓG*

# PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

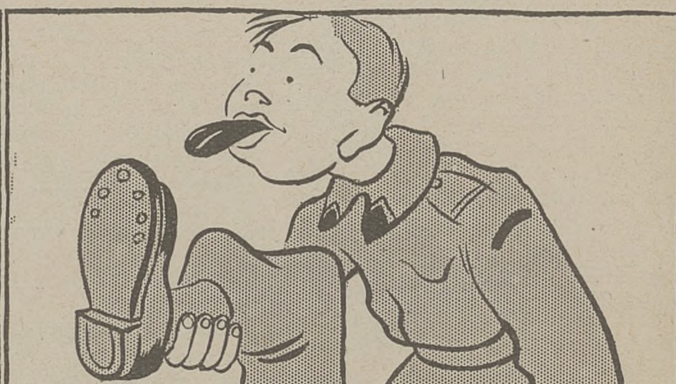
*Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



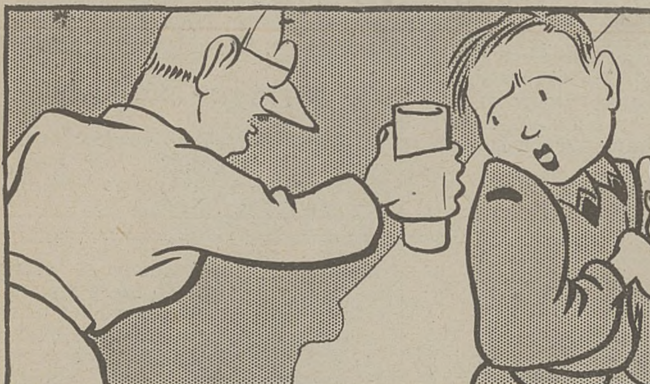
Do meldunków i musztry
Waluś nie był zbyt skory,
Więc odpocząć zapragnął
W izbie zdrowych i chorych.



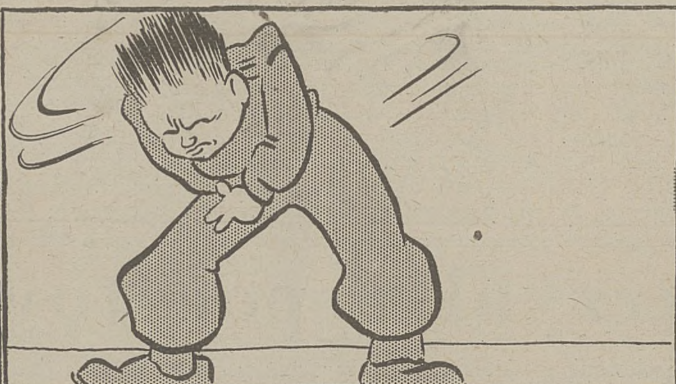
W izbie chorych siedzieli
Dwaj poważni lekarze.
Starszy strzelec—krzyknęli—
Niech nam język pokaże!



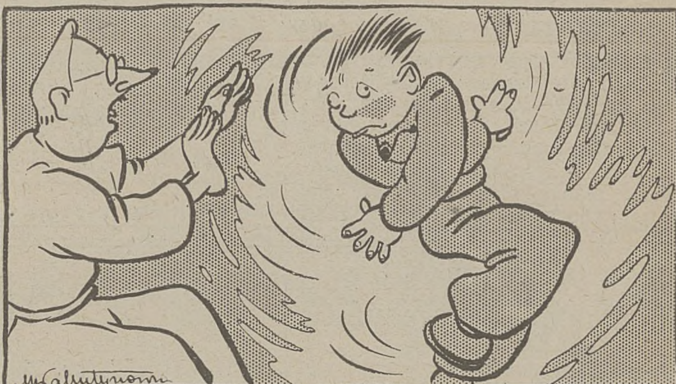
Pompka język pokazał,
Jęknął: bóle mam w pięcie,
Zawrót głowy, nostalgię,
Kolkę w boku i wzdęcie.



Podobnego wypadku
Nie widziałem, jak żyję,
Niech pan zaraz—rzekł lekarz—
To lekarstwo wypije.



Waluś wypił lekarstwa
Równo gramów trzydzieści
No i dostał natychmiast
Fantastycznych boleści.



Wówczas struchlał pan doktór.
Wybacz—krzyknął—kochany!
To omyłka! W tej butli
Kwas był chloro-siarczany ...





KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

SPIS RZECZY

*Aleksander Janowski:* Czas próby. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Stefan Gazeł:* Atlantycka fala. — *Franciszek Lenczowski:* W 25tą rocznicę bitwy kaniowskiej. — *Bogumił Andrzejewski:* Wspomnienia z oblężonego Tobruku /II/. — *Witold Wroński:* W szwajcarskiej świetlicy. — *Henryk Giełdziński:* W Afryce Zachodniej /VI/. — *Wiktor Budzyński:* Bez black-outu. — Skrzynka pocztowa. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Rysunek *Jana Polińskiego*. — Fotografie.

Ktokolwiek może udzielić wiadomości o pp.: Czesławie RYMSZY, doktorze medycyny, Władysławie RYMSZY i Piotrze RYMSZY pochodzących z Wilna, proszony jest o podanie ich pod adresem: Dr. Witalis RYMSZA, 5551, Chene Str., Detroit, Michigan, USA.

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

KOMUNIKAT

Polski Czerwony Krzyż zawiadamia, że od dnia 12.IV.43 cena indywidualnej paczki żywnościowej dla jeńca na kartę zapotrzebowania wynosi sh. 8/6.









p. GWIDO WÓJTOWICZ proszony jest o porozumienie się z Ireną Paczoską która ma dla niego wiadomość. 553, Promenade, Blackpool.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji o ojcu moim kapitanie Korpusu Sądowego, ANTONIM BROSZKIEWICZU oraz ZYGMUNCIE SOCHACKIM, proszony jest o skomunikowanie z Haliną Stegeman, Kersewell House, Carnwath, Lanarkshire, Scotland.

Ktokolwiek mógłby udzielić wiadomości o miejscu dokładnego pobytu ANNY ROGUSZKA z domu Atanowska, urodz. 1911 w Dziurowie, pow. Śniatyń córki Karola i Ludwiki, zamężnej od r. 1930, mąż Józef, zamieszkałej przed wojną w Załuczu ad Czeremosz pow. Śniatyń. Poszukuje brat Franciszek Atanowski. Zgłoszenia do redakcji "P.W."





WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.